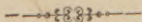


**DZIELA
IBSEN**

HENRYK IBSEN.



DZIKA KACZKA

Dramat w 5 aktach

Na język polski przełożył

K. R.



W Złoczowie,

nakładem i drukiem Wilhelma Zukerkandla.

301354

OSOBY:

Werle, przemysłowiec i właściciel kopalń.

Gregor Werle, jego syn.

Stary Ekdal.

Hjalmar Ekdal, jego syn, fotograf.

Gina Ekdal, żona Hjalmara.

Jadwiga, ich córka, lat 14.

Pani Sörby, gospodyni u Werlego.

Dr. Relling, lekarz.

Molvig, były teolog.

Groberg, buchalter.

Pettersen }
Jensen } służący przemysłowca Werlego.

Szambelan Flor, otyły i blade.

Szambelan Balle, łysy.

Szambelan Kaspersen, krótkowidzący.

Sześciu panów, goście Werlego, służba.

Akt pierwszy w mieszkaniu przemysłowca Werlego,
cztery następne u fotografa Ekdala.

Akt I.

W domu przemysłowca Werlego.

Gabinet do pracy wytwornie i wygodnie urządzony, szafy z książkami i wyścielane meble. Biuro założone papierami i formularzami handlowymi. Na środku sceny zapalone lampy, osłonięte zielonymi abażurami, które cały pokój pogrążają w matowym oświetleniu. W ścianie tylnej drzwi otwarte, przez które widać wielki, elegancki, jasno oświetlony pokój. Na prawo w ścianie małe drzwi do kantoru, na lewo komin z płonącym drzewem, za nim zaś drzwi do pokoju jadalnego.

Pettersen, służący Werlego, w liberyi i *Jensen*, służący wynajęty we fraku, porządkują pokój. W salonie kręci się służba zapalająca lampy. Z pokoju jadalnego dochodzą sznery ożywionej rozmowy i odgłosy śmiechu. Słychać uderzenie noża w szklanke, później nastaje cisza. Ktoś wznosi toast, później słychać głosy „brawo, brawo.“ Znowu szmer rozmowy.

Pettersen zapala lampę na kominku i osłania ją abażurem. Patrz, patrz, Jansenie, stary stoi przy stole i wznosi długi toast na cześć pani Sörby.

Jensen przysuwa fotel. Czy to prawda, co ludzie mówią, że jest tam coś między nimi?

Pettersen. Dyabli wiedzą.

Jensen. On przecież swego czasu był zatwardziałym grzesznikiem.

Pettersen. Być może.

Jensen. Powiadają, że obiad ten wydaje dla swego syna.

Pettersen. Tak, syn jego wczoraj powrócił do domu.

Jensen. Nie wiedziałem nawet, że przemysłowiec Werle ma syna.

Pettersen. Syn jego stale siedzi w kopalniach. Przez cały czas mej służby nie był tu w mieście ani razu.

Jeden ze służby w drzwiach drugiego pokoju. Panie Pettersen, jest tu stary człowiek, który...

Pettersen mruczy. Cóż do kata ten zmór chce może!

Stary Ekdal wchodzi drzwiami z prawej strony. Ma na sobie stary wyszarzany płaszcz z wysokim kołnierzem, bawełniane rękawiczki, w ręku laska i czapka futrzana, pod pachą plikę papierów. Nośi rudawą, brudną perukę, siwy mały wąs.

Pettersen idąc naprzeciw niego. Jezu, czegoż pan tutaj chce?

Stary Ekdal w drzwiach. Muszę koniecznie dostać się do kantoru, Pettersenie.

Pettersen. Kantor przed godziną zamknięto, — a...

Stary Ekdal. Wiem o tem, przyjacielu. Ale Groberg siedzi tam jeszcze. Bądź tak dobrym, Pettersenie, i pozwól mi przejść tędy. Wskazuje na drzwi w ścianie. Nieraz przecież tędy chodziłem.

Pettersen. Owszem, przejdź pan. Otwierza drzwi.

Ale z powrotem niech pan idzie właściwą drogą. Mamy dziś przyjęcie.

Stary Ekdal. Dobrze, dobrze, hm! Dziękuję ci, Pettersenie, stary, zacny przyjacielu. Dziękuję. Po cichu mruczy. Barania głowa. Idzie do kantoru, Pettersen zamyka za nim drzwi.

Jensen. Czy on należy także do personelu w kantorze?

Pettersen. Nie, pisuje tylko poza domem, jeśli zajdzie potrzeba. Ale swojego czasu ten stary Ekdal był jednak eleganckim mężczyzną.

Jensen. Znać to trochę po nim.

Pettersen. Prawda? Wyobraź sobie, że on był porucznikiem.

Jensen. Do dyabła — porucznikiem!

Pettersen. Naprawdę. Ale wdał się w handel drzewem czy też coś podobnego. Podobno wypłatał staremu Werlemu szkaradnego figla. Bo wtedy oni razem przebywali w kopalni. O, ja znam starego Ekdala bardzo dobrze. U pani Eriksen wypiliśmy ze sobą niejedną wódeczkę a nawet i butelczynę bawara.

Jensen. On przecież nie ma chyba z czego zapraszać.

Pettersen. Możesz się przecież domyśleć, że to ja zapraszałem. Bo według mego zdania należy być zawsze uprzedzająco grzecznym względem ludzi, którym się nie poszczyściło.

Jensen. Czy on zbankrutował?

Pettersen. Jeszcze gorzej. Wsadzono go do więzienia.

Jensen. Do więzienia?

Pettersen. Czy też nawet do twierdzy. Nasłuchuje. Cicho, już wstali od stołu.

Służba otwiera drzwi od jadalni. Wchodzi pani Sörby rozmawiając z kilkoma panami. Za nią wchodzi całe towarzystwo, między innymi Werle, szambelan Flor, Balle, Kaspersen. Na końcu wchodzi Hjalmar, Ekdal i Gregor Werle.

Pani Sörby przechodząc do służby. Czarną kawę podasz w salonie, Pettersenie.

Pettersen. Słucham, proszę pani.

Pani Sörby i dwaj panowie wychodzą do tylnego pokoju i tam znikają w prawej kulisie. Pettersen i Jensen tą samą drogą wychodzą.

Szambelan Flor do szambelana Ballego. Uf — taki obiad — to przecież niepospolita praca.

Szambelan Balle. O, przy odrobinie dobrej woli można w przeciągu trzech godzin wcale niezwykłych rzeczy dokazać.

Szambelan Flor. Tak, ale potem, potem, drogi szambelanie.

Trzeci pan. Podobno kawę i likiery podać mają w salonie.

Szambelan Flor. Doskonale! Może pani Sörby zagra nam jaki kawałek.

Szambelan Balle pocichu. Kto wie, czy pani Sörby nas wszystkich wkrótce na kawał nie weźmie.

Szambelan Flor. Ale nie, z pewnością nie; Berta nie porzuci swoich starych, dobrych przyjaciół.

Śmiejąc się przechodzą do drugiego pokoju.

Werle po cichu, zmieszany. Sądzę, że nikt na to nie zwrócił uwagi.

Gregor wstaje. Na co?

Werle. Czy i ty nic nie zauważyłeś?

Gregor. Cóż miałem zauważyć?

Werle. Trzynaście osób zasiadło dziś do stołu.

Gregor. Tak, trzynaście?

Werle spoglądając nieznacznie na *Hjalmara Ekdala*. Prawie zawsze zbiera się u nas tylko dwanaście osób. Do reszty towarzystwa. Proszę, bardzo proszę, moi panowie.

Stary *Werle* z resztą towarzystwa wychodzą powoli drzwiami na prawo, zostaje tylko *Hjalmar* i *Gregor*.

Hjalmar który słyszał rozmowę. Nie powinienes mi być przysyłać zaproszenia.

Gregor. Co! Przecież to podobno przyjęcie na moją cześć urządzone. A ja nie miałbym zaprosić mego najlepszego i jedyne go przyjaciela. —

Hjalmar. Zdaje mi się jednak, że twój ojciec patrzy na to niechętnie. Przecież ja nigdy zresztą nie bywam w tym domu.

Gregor Tak słyszałem. Ale ja przecież musiałem zobaczyć się z tobą i pogawędzić, bo wkrótce zapewne znowu odjadę. — Tak, my starzy szkolni koledzy, długo, bardzo długo byliśmy rozłączeni. Nie widzieliśmy się chyba przez szesnaście lub siedemnaście lat.

Hjalmar. Czyż to już tak długo!

Gregor. Tak, zapewne. No, jakże ci się powo-

dzi? Wyglądasz dobrze. Możnaby prawie powiedzieć, że utyłś.

Hjalmar. No, otyłym by mię chyba nazwać nie można. Ale prawdopodobnie zmężniałem od tego czasu.

Gregor. Tak, tak właśnie; zewnątrz nic nie ucierpiałeś.

Hjalmar ponuro. Ale za to wewnątrz. Możesz mi wierzyć, że z tej strony sprawa inaczej się przedstawia. Wiesz chyba, jakie straszne mnie i moich spotkało nieszczęście od czasu gdyśmy się widzieli po raz ostatni.

Gregor cicho. Jakże się teraz ojcowi twemu powodzi?

Hjalmar. Lepiej nie mówmy o tem. Mój biedny, nieszczęśliwy ojciec mieszka naturalnie przy mnie. Nikogo przecież niema na świecie, do kogo by się mógł udać. Ale zbyt mi jest przykrem mówić o tem. — Powiedz mi lepiej, jak się tobie tam w kopalniach powodziło.

Gregor. Byłem samotny i dlatego też nad tem i owem bez przeszkody mogłem rozmyślać. — Chodź, usiądźmy sobie wygodnie. Siada na fotelu przy kominku, *Hjalmar* na drugim obok niego.

Hjalmar wzruszony. Właściwie powinienem ci podziękować, żeś mię dziś do domu swego ojca zaprosił. Teraz widzę, że nic już przeciwko mnie nie masz.

Gregor zdziwiony. Skądże ci na myśl przyszło, że ja kiedykolwiek miałem co przeciwko tobie?

Hjalmar. Tak było przecież w pierwszych latach.

Gregor. W jakich pierwszych latach?

Hjalmar. Kiedy się stało to wielkie nieszczęście. No, to zresztą zupełnie naturalne. O mały tylko włoszek przecież, a i twój ojciec byłby wplątany w te — w te straszne wypadki.

Gregor. I dlatego to ja miałem mieć coś przeciwko tobie? Któż to w ciebie wmówił?

Hjalmar. Wiem, że tak było, — twój ojciec sam mi to powiedział.

Gregor zmięszany. Mój ojciec! A, tak! — Hm — i dlatego też ty nie dawałeś mi od tej chwili żadnej o sobie wiadomości, nie napisałeś jednego choćby słówka.

Hjalmar. Tak.

Gregor. I to nawet wtedy, kiedy postanowiłeś zostać fotografem.

Hjalmar. Twój ojciec powiedział, że nie opłaci się pisać do ciebie, cokolwiekby zaszło.

Gregor spogląda przed siebie. Może miał i słuszość. — Ale, powiedz mi teraz, Hjalmarze — czy obecne twoje stanowisko zadowala ciebie?

Hjalmar wzdycha po cichu. O tak, zapewne; nie mogę się skarżyć. W pierwszych dniach było mi jakoś trochę dziwnie wśród tych zupełnie odmiennych stosunków, jakie mię otaczały. Ale i wszystko naokoło mnie zmieniło się również. To wielkie nieszczęście mego ojca, ruina, — hańba i wstyd — o mój drogi. —

Gregor wzruszony. Tak! tak!

Hjalmar. Nie mogłem nawet marzyć o dalszych studyach; nie mieliśmy już złamanego szeląga, a nawet wyszły na jaw długie. Najwięcej winni byliśmy, jak sędzę — twemu ojcu. —

Gregor. Hm. —

Hjalmar. Dlatego też wydało mi się najlepszym wyjściem — zerwać odrazu, bez wahania dawne stosunki i znajomości. Twój ojciec zwłaszcza, to samo mi doradzał; ponieważ zaś tak hojnie przyszedł mi z pomocą...

Gregor. Mój ojciec?

Hjalmar. Tak, chyba wiesz o tem? Skądżebym inaczej wziął był pieniądze na wyuczenie się fotografii, urządzenie atelier i domu. Możesz mi wierzyć, że to dużo kosztuje.

Gregor. I za to wszystko płacił mój ojciec?

Hjalmar. Nie wiedziałeś o tem, mój drogi? Ze słów jego wnioskowałem, że pisał o tem do ciebie.

Gregor. Ani słowem nie wspomniał, że to on ci dopomagał. Może zapomniał. Listy nasze zresztą omawiały zawsze wyłącznie handlowe sprawy. A więc — to był mój ojciec.

Hjalmar. Tak, twój ojciec. Nie chciał, aby o tem wiadano, ale to był on. I on także dał mi możliwość ożenienia się. A może ty o tem także nie wiesz?

Gregor. W rzeczy samej, nie wiedziałem o tem. Ale, drogi Hjalmarze, nie możesz sobie nawet

wyobrazić, ścisła jego ramię, jak mię to wszystko cieszy — i dręczy zarazem. Może wyrządziłem krzywdę memu ojcu — pod pewnym względem. Tak, bo to widzisz, świadczy przecież o sercu, a przytem o pewnego rodzaju sumieniu. —

Hjalmar. Sumieniu?

Gregor. Tak, o sumieniu, albo jak ci się to zresztą nazwać podoba. Nie jestem wstanie wypowiedzieć nawet, jak bardzo jestem szczęśliwy, że takie rzeczy słyszę o moim ojcu. — A więc ożeniłeś się, Hjalmarze? Doprowadziłeś więc dalej niż ja kiedykolwiek doprowadzę. Spodziewam się, że w małżeństwie czujesz się szczęśliwym.

Hjalmar. O, tak. Ona jest dzielną i pracowitą kobietą, jak sobie tego tylko życzyć można; a przytem wcale nie bez wykształcenia.

Gregor trochę zdziwiony. Zapewne, że nie.

Hjalmar. Bo życie, widzisz, kształci. A przytem codzienne obcowanie ze mną — z kilkoma zdolnymi ludźmi, którzy u nas bywają. — Zapewniam cię, że nie poznałbyś teraz Giny.

Gregor. Giny?

Hjalmar. Tak, mój drogi. Czyż nie przypominasz sobie, że jej na imię było Gina.

Gregor. Co za Gina? Nie wiem o niczem —

Hjalmar. Jakto, więc nie przypominasz sobie, że ona tu, w waszym domu, czas jakiś była na kondycji?

Gregor spogląda na niego. Czy to może Gina Hansen?

Hjalmar. Naturalnie, Gina Hansen!

Gregor. Która podczas choroby mojej matki, w ostatnim roku zarządzała domem?

Hjalmar. Tak, to ona właśnie. Ale, proszę cię, mój drogi, wiem przecież na pewno, że ojciec twój pisał do ciebie o tem, że się ożeniłem.

Gregor wstając. Tak pisał, ale nie o tem, że — chodzi tam i napowrót. Poczekaj — może sobie jeszcze przypomnę. Przysłała na poręczy krzesła. Mój ojciec pisywał do mnie zawsze tak krótko. Posłuchaj, Hjalmarze, powiedz mi — to przecież zabawne; w jaki sposób stało się, że ty poznałeś się z Giną — a twoją żoną?

Hjalmar. Zupełnie po prostu. Gina nie była tu długo; wtedy w domu waszym panowało takie zamieszanie; choroba twojej matki; — Gina wszystkiemu nie mogła podołać, wypowiedziała miejsce i odeszła. Było to rok przed śmiercią twojej matki — albo może i w tym samym roku.

Gregor. W tym samym roku. Ja zaś byłem wtedy w kopalni. Ale później?

Hjalmar. Później Gina mieszkała przy swej matce, niejakiej pani Hansen, kobiecie bardzo pilnej i zapobiegliwej, która utrzymywała małą restauracyjkę a miała przy tem także i pokój do wynajęcia, prawdziwie miły, czystutki pokój.

Gregor. A ty prawdopodobnie byłeś tak szczęśliwym, że pokój ten tobie się dostał?

Hjalmar. Tak. Ojciec twój zwrócił na niego

moją uwagę. A tam — widzisz — tam właściwie dopiero poznałem Ginę.

Gregor. I w ten sposób przyszło do zaręczyn?

Hjalmar. Tak. Młodzi ludzie prędko zakochują się w sobie; — hm —

Gregor wstaje i chodzi tam i napowrót. Powiedz mi — czy wtedy właściwie, kiedy się zaręczyłeś, ojciec mój kazał cię — to jest chciałem się zapytać — czy wtedy właśnie zabrałeś się do fotografowania?

Hjalmar. Tak, wtedy właśnie. Im wcześniej, tem lepiej stworzyć sobie dom własny, myślałem. I tego co i ja zdania był także twój ojciec, że najłatwiej pójdzie z fotografowaniem. Ginie tak samo się zdawało. A przytem jeszcze jedna była tu przyczyna. Gina zajmowała się już kiedyś retuszowaniem.

Gregor. Tak, to wszystko doskonale się składało.

Hjalmar wstaje zadowolony. Nieprawdaż? Czy i ty jesteś tego zdania, że wszystko doskonale się składało?

Gregor. Muszę to przyznać. Ojciec mój stał się więc dla ciebie rodzajem opatrności.

Hjalmar wzruszony. W czasach udręczenia nie pozostawił bez pomocy syna swego starego przyjaciela; bo on, widzisz, ma serce.

P. Sörby wchodzi prowadzona przez Werlego. Nie opieraj się już, drogi przyjacielu; oni nie powinni

dłużej tu już siedzieć i bezmyślnie w te wszystkie światła się wpatrywać. To dla nich niezdrowo.

Werle puszcza jej ramię i przeciera sobie ręką czoło. Tak, zdaje mi się, że pani ma słuszość.

Pettersen i Jensen wchodzą z tacami w rękach.

P. Sörby do gości w drugim pokoju. Proszę panów bardzo, kto chce dostać szklanekę ponczu, zechce się tu pofatygować.

Sz. Flor zbliża się do pani *Sörby*. Ależ na miły Bóg, czy to prawda, że pani zniosła cenną wolność palenia?

P. Sörby. Tak, panie szambelanie, tu w granicach królestwa pana *Werlego* palić się zabrania.

Sz. Balle. I odkąd to pani zaprowadziła te obostrzenia w ustawodawstwie cygar i tytoniu?

P. Sörby. Od ostatniego obiadu, panie szambelanie, gdyż znaleźli się ludzie, którzy pozwolili sobie przebrać miarę.

Sz. Balle. A czy i dziś nie możnaby tak troszeczkę przebrać miary, pani *Berto*? Naprawdę nie?

P. Sörby. Pod żadnym względem panie szambelanie.

Wszyscy prawie goście zebrali się w pokoju; służba obnosi szklanki napełnione ponczem.

Werle zbliżając się do *Hjalmara* stojącego przy stole. Cóż pan tam studjujesz?

Hjalmar. Tylko album, panie *Werle*.

Sz. Balle przechadzając się. Aha, fotografie! Tak, to w rzeczy samej coś dla pana.

Sz. Flor siedzi w fotelu. Czy pan nie przeniośłeś ze sobą jakich fotografii?

Hjalmar. Nie, nie przyniosłem.

Sz. Flor. Szkoda, powinienesz pan był przynieść. To przecież tak pomaga do trawienia siedzieć i oglądać fotografie.

Sz. Balle. A przytem to zawsze rodzaj zabawki, nieprawdaż?

Sz. Kaspersen. A wszystkie dodatki przyjmuje się z wdzięcznością.

P. Sörby. Panie Ekdal, panowie szambelanie są tego zdania, że skoro się na obiad zaproszonym zostało, trzeba na niego także zapracować.

Sz. Flor. W dobrej restauracyi to prawdziwa przyjemność.

Sz. Balle. Mój Boże, jeśli idzie o walkę o byt, to —

P. Sörby. Tak pod tym względem ma pan słuszość. Siadają i wśród żartów i śmiechu prowadzą rozmowę dalej.

Gregor pocichu. Mówże co z nimi, Hjalmarze.

Hjalmar zwracając się do niego. O czemże mam mówić?

Sz. Flor. Czy nie sądzi pan, panie Werle, że wino tokajskie za względnie zdrowe dla żołądka uważać można?

Werle przy kominku. Za tokaja, któregoście dziś pili, — w każdym razie mogę zaręczyć. Ma on

markę najlepszych lat. Zapewne, zresztą sami to zauważyliście.

Sz. Flor. O tak, smak jego był nad wszelki wyraz delikatny.

Hjalmar nieśmiało. Czy jest jaka różnica między latami?

Sz. Flor śmieje się. Nie, pan jesteś pysznym!

Werle uśmiecha się. Naprawdę, panu nie warto podawać dobrego wina.

Sz. Balle. Z tokajem ma się rzecz tak samo, jak z fotografiami, panie Ekdal. Wszak one potrzebują słonecznego światła, nieprawdaż?

Hjalmar. Tak, światło ma w każdym razie swoje znaczenie.

P. Sörby. W takim razie ma się z niemi rzecz tak samo jak z szambelanami. I oni potrzebują bardzo słonecznego światła.

Sz. Balle. O, o, dawka trochę przestarzała!

Sz. Kaspersen. Pani Sörby produkuje się. —

Sz. Flor. I to w dodatku naszym kosztem. Grozi jej. Pani Berto, pani Berto!

P. Sörby. Ale w każdym razie jest rzeczą pewną i dowiedzioną, że lata różnią się bardzo pomiędzy sobą. Najstarsze są najlepsze.

Sz. Kaspersen. Czy pani mnie zalicza do starych?

P. Sörby. O, jeszcze wcale nie.

Sz. Balle. Masz pan za swoje. A mnie, droga pani Sörby?

Sz. Flor. A mnie? Do jakich lat nas pani zalicza?

P. Sörby. Do lat słodkich, moi panowie.

Przytyka usta do szklanki, panowie śmieją się i żartują.

Werle. Pani Sörby zawsze umie sobie znaleźć wyjście — jeżeli chce. Proszę, pijcie, moi panowie! Pettersenie, podawaj! — Gregor — może wypijemy razem szklaneczkę. Gregor nie rusza się z miejsca. A może i ty, panie Ekdal, napijesz się z nami? Nie miałem sposobności pamiętać o panu przy stole.

Buchalter Groberg zagląda przez drzwi ścienne.

Groberg. Proszę mi wybaczyć, panie Werle, ale nie mogłem w żaden sposób wyjść z kantoru.

Werle. Jakto, znowu pana zamknięto?

Groberg. Tak, i Flagstad poszedł z kluczami.

Werle. Proszę, niech pan przejdzie.

Groberg. Ale tam za mną jest jeszcze ktoś. —

Werle. Przejdźcie obydwaj, przejdźcie bez ceremonii. Groberg i stary Ekdal wychodzą z kantoru. Werle mimowoli Ha!

Śmiechy i rozmowa w pośród gości milkną. Hjalmar cofa się na widok ojca z przerażeniem, odstawia na bok szklankę i odwraca się do kominka.

Stary Ekdal kłania się na około nie podnosząc głowy i przechodząc przez pokój mruczy. Proszę mi wybaczyć. Poszedłem niewłaściwą drogą. Drzwi były zamknięte. Proszę mi wybaczyć. Wychodzą z Grobergiem na prawo.

Werle z zaciśniętymi zębami. Przeklęty Groberg!

Gregor z otwartymi ustami i osłupiałym wzrokiem do *Hjalmara*. Ależ to chyba nie był przecie —

Sz. Flor. Kto to był ten człowiek? Co to za jeden?

Gregor. O nikt, — to buchalter i jeszcze ktoś.

Sz. Kaspersen do *Hjalmara*. Czy pan nie zna tego człowieka?

Hjalmar. Nie wiem, — nie uważałem.

Sz. Flor wstając. Co takiego u licha w tem się kryć może? Przechodzi do innych panów i rozmawia z nimi po cichu.

P. Sörby szepece do służących. A wsadźcie mu tam do kieszeni co dobrego.

Pettersen kiwa głową. Dobrze! Wychodzi.

Gregor wzruszony, pocichu do *Hjalmara*. A więc to był on naprawdę?

Hjalmar. Tak!

Gregor. A ty, ty stałeś tu i wyparłeś się, że go znasz?

Hjalmar pocichu gwałtownie. Ależ czy ja mogłem —

Gregor. Przyznać się do twego ojca?

Hjalmar boleśnie. O, gdybyś ty był na mojem miejscu, wówczas...

Rozmowa między gośćmi prowadzona dotąd pocichu, przechodzi w ton głośny, lecz wymuszony.

Sz. Balle zbliża się do *Hjalmara* i *Gregora* przyjaźnie. Tak, panowie tu sobie gwarzycie i wznawiacie wspomnienia lat szkolnych? Co? Pan nie pali, panie Ekdal? Może panu służyć ogniem? Ale, prawda — niewolno.

Hjalmar. Dziękuję bardzo, nie palę —

Sz. Flor. Czy nie mógłbyś nam pan zadeklować jakiego ładnego, krótkiego wierszyka, panie Ekdal? Dawniej deklamowałeś pan tak pięknie.

Hjalmar. Nie mogę sobie jakoś żadnego przypomnieć.

Sz. Flor. Jaka szkoda. No i cóż będziemy robić, panie Balle? Obydwaj wychodzą do tylnego pokoju.

Hjalmar ponuro. Gregor, ja muszę odejść! Kogo miazdząca ręka losu dotknęła, ten — złóż odemnie uszanowanie twemu ojcu.

Gregor. Dobrze, dobrze. Idziesz prosto do domu?

Hjalmar. Tak. Dlaczego się pytasz?

Gregor. Bo później może przyjdę do ciebie.

Hjalmar. Nie, nie przychodź. Nie przychodź do mnie do domu. Dom mój ponury jest i pusty — tem bardziej po tak świetnej uczcie. Możemy się przecież spotkać w mieście, w jakim umówionem miejscu.

P. Sörby która się do nich zbliżyła, pociechu. Pan odchodzi, panie Ekdal?

Hjalmar. Tak.

P. Sörby. Pozdrów pan Ginę odemnie.

Hjalmar. Dziękuję.

P. Sörby. I powiedz pan jej, że w tych dniach będę miała z nią o czemś do pomówienia.

Hjalmar. Jak najchętniej. Do Gregora. Zostań

tu, chcę się wymknąć niepostrzeżenie. Przechodzi szybko przez scenę do tylnego pokoju i stamtąd wychodzi na prawo.

P. Sörby cicho do *Pettersena*, który już wrócił. No, dałeś co staremu?

Pettersen. Wsunąłem mu butelkę koniaku.

P. Sörby. Mogłeś przecie znaleźć coś lepszego.

Pettersen. O, nie, proszę pani. Koniak dla niego jest najlepszą rzeczą w świecie.

Sz. Flor w drzwiach z nutami w ręce. Czy nie zagra pani zemną, pani *Sörby*?

P. Sörby. Z całą przyjemnością.

Goście. Brawo, brawo!

Pani *Sörby* i goście przechodzą do salonu; Gregor zostaje przy kominku. Werle szuka czegoś na biurku, jakby chciał dać do poznania Gregorowi, żeby wyszedł do innych gości, skoro ten się jednak nie rusza, idzie sam do drzwi.

Gregor. Czy nie mógłbyś chwilkę poczekać, ojcze?

Werle staje. O co idzie?

Gregor. Chciałbym parę słów z tobą pomówić.

Werle. Czy nie będzie na to odpowiedniejsza pora, gdy zostaniemy sami?

Gregor. Niewiadomo, bo może zajść coś takiego, że sami już nie zostaniemy.

Werle przystępując bliżej. Co to ma znaczyć?

Podczas całej rozmowy z salonu dolatują dźwięki muzyki.

Gregor. Jakżeś mógł pozwolić, by ta rodzina tak zupełnie zniszczała?

Werle. Łatwo mi się domyśleć, że mówisz zapewne o Ekdalach.

Gregor. Tak, mówię o Ekdalach. Porucznik Ekdal był ci niegdyś bardzo blizkim.

Werle. Niestety, zanadto blizkim. Przez długi szereg lat musiałem to boleśnie odczuwać i za to pokutować. Jemu to zawdzięczam, że i moje dobre imię i moja opinia narażone zostały na pewnego rodzaju plamę.

Gregor cicho. Czy naprawdę on tylko był winnym?

Werle.. A któżby jeszcze więcej?

Gregor. On i ty, — wy obydwaj przecie mieliście udział — w wielkiem zakupnie lasów.

Werle. Ale tylko Ekdal zdejmował plan terenu, ten plan zakwestyonowany. On także dopuścił się niedozwolonego wycinania lasów na szkodę państwa. On sam kierował tam na miejscu całym przedsiębiorstwem. Ja nawet pojęcia nie miałem o tem, co robił porucznik Ekdal.

Gregor. Porucznik Ekdal sam także nie miał pojęcia o tem, co robił.

Werle. Być może, faktem jest jednak, że jego zasądzono a mnie uwolniono.

Gregor. Tak, z powodu braku dowodów.

Werle. Uwolnienie mimo to jest uwolnieniem. Dlaczego poruszasz te stare przykre wypadki, które mię o przedwczesną przyprawiły siwiznę? Czy nad tem może przemyślałeś tam w kopalni przez cały czas twego pobytu? Mogę cię zapewnić, że tu w mieście dawno zapomniano

o wszystkim — przynajmniej o ile się to mnie tyczy.

Gregor. Ale nieszczęśliwa rodzina Ekdalów.

Werle. Cóż ja dla nich uczynić mogłem? Kiedy Ekdala wypuszczono z więzienia, był on już człowiekiem złamanym, któremu pomódz nie było można. Są na świecie ludzie, którzy giną, choćby ich tylko parę śrucin trafiło, giną i nie potrafią już napowrót wypłynąć. Możesz mi wierzyć na słowo, że zrobiłem wszystko, co zrobić mogłem, nie narażając się na różnorodne podejrzenia i plotki. —

Gregor. Podejrzenia — tak zapewne. —

Werle. Kazałem dać Ekdalowi przepisywanie w kantorze i płacę mu więcej, niż jego praca jest warta —

Gregor nie patrząc na niego. Hm, o tem nie wątpię.

Werle. Śmiejesz się? Czy sądzisz może, że co mówię, nie jest prawdą? W księgach moich niema wprawdzie śladu. Bo takich wydatków nie zapisuję nigdy.

Gregor uśmiecha się zimno. Tak, są wydatki, których lepiej nie zapisywać.

Werle zmieszany. Co chcesz przez to powiedzieć?

Gregor z wymuszoną odwagą. Czy to na przykład zapisałś co kosztowało cię wykształcenie fotograficzne Hjalmara Ekdala?

Werle. Jąkto, czy zapisałem?

Gregor. Wiem już, że ty ponosiłeś koszta, i wiem, że ty także dałeś mu możliwość założenia atelier i urządzenia domu.

Werle. A jednak mówisz, że nie nie uczyniłem dla Ekdalów! Mogę cię zapewnić, że ci ludzie dużo mi kosztowali.

Gregor. Czy którekolwiek na nich wydatki zapisałeś do ksiąg swoich?

Werle. Dlaczego pytasz o to?

Gregor. Pytanie moje jest uzasadnione. Powiedz mi, proszę — czy nie wtedy właśnie zająłeś się tak gorąco losem syna twego starego przyjaciela — kiedy on się miał żenić?

Werle. Ależ, do kata — jakże mam po upływie tylu lat? —

Gregor. Napisałeś wtedy do mnie list — list handlowy naturalnie, a w przypisku było tylko, że Hjalmar Ekdal ożenił się z jakąś panną Hansen.

Werle. No i tak też się ona nazywała.

Gregor. Ale nie pisałeś mi o tem, że ta panna Hansen, to była Gina Hansen, nasza dawna gospodyni.

Werle śmieje się szyderczo, ale z przymusem. Naprawdę, nie wiedziałem, że nasza dawna gospodyni tak bardzo zajmować cię może.

Gregor. Nie zajmowała mię też wcale. Ale — znizonym głosem był tu ktoś inny w domu, kogo zajmowała bardzo.

Werle. Co to ma znaczyć? Z wybuchem. Bo nie do mnie chyba odnoszą się twe słowa.

Gregor cicho, ale stanowczo. Owszem, odnoszą się do ciebie.

Werle. I ty jesteś tak zuchwałym — ty ośmieszasz się! — Ale, że on, on, ten niewdzięczny — ten fotograf — odważył się z takimi zgłaszać do mnie wymówki.

Gregor. Hjalmar słowem nawet o tej sprawie nie wspomniał. Sądzę, że nawet o tem wszystkim nie ma pojęcia.

Werle. Więc skąd ty wiesz? Kto ci mógł coś podobnego powiedzieć?

Gregor. Powiedziała mi to moja biedna, niešťeśliwa matka, wtedy, kiedy ją po raz ostatni widziałem.

Werle. Twoja matka! Mogłem się tego domyśleć. Ty i ona — zawszeście ze sobą trzymali. Ona od samego początku buntowała cię przeciw mnie.

Gregor. Nie, to wszystko powstało z tego, co ona tu znieść i wycierpieć musiała, aż wreszcie uległa i tak nędźnie skończyła.

Werle. Nie miała czego znosić ani cierpieć, w każdym razie nic więcej jak wiele innych. Ale z chorymi, egzaltowanymi ludźmi nikt sobie poradzić nie jest w stanie. A teraz ty, ty rzucasz na mnie takie podejrzenie, wygrzebujesz stare pogłoski i oszczerstwa przeciw własnemu ojcu.

Dzika kaczka.

Zdaje mi się, że mógłbyś już w twoim wieku zająć się czemś pożyteczniejszem.

Gregor. Tak, to byłoby na czasie.

Werle. Wtedy i umysł twój stałby się swobodniejszym jak teraz. Doczego to ma prowadzić, że ty rok za rokiem siedzisz tam w kopalni, i męczysz się jak zwyczajny kupczyk i grosza ponad zwykłą pensję miesięczną przyjmować nie chcesz? To przecież widoczna niedorzeczność!

Gregor. Gdybym mógł być zupełnie pewnym —

Werle. Rozumiem cię dobrze. Chcesz być niezależnym, nie chcesz mi nic zawdzięczać. Otóż teraz właśnie masz sposobność stać się zupełnie niezależnym i panem swej woli pod każdym względem.

Gregor. Tak? W jaki sposób?

Werle. Kiedy pisałem do ciebie, byś natychmiast przybył do miasta, chciałem...

Gregor. Czego właściwie chciałeś odemnie? Cały dzień czekam, by się o tem dowiedzieć.

Werle. Chciałem ci zaproponować, byś został wspólnikiem mojej firmy.

Gregor. Ja, wspólnikiem twojej firmy?

Werle. Nie potrzebowalibyśmy znówu z tej przyczyny być ciągle razem ze sobą. Ty mógłbyś objąć interesa tu w mieście a ja udałbym się do kopalni.

Gregor. Do kopalni?

Werle. Widzisz, ja już nie jestem tak zdol-

nym do pracy jak dawniej. Muszę oszczędzać meoczy. Zaczynają słabnąć.

Gregor. Zawsze przecież były słabe.

Werle. Nie tak bardzo jak teraz. A prócz tego okoliczności tak się złożyć mogą, że lepiej mi będzie tam mieszkać, przynajmniej przez czas jakiś.

Gregor. Nigdybym czegoś podobnego nie przypuszczał.

Werle. Posłuchaj mię. Wiele jest rzeczy, które nas dzielą. Ale ja jestem przecież ojcem, ty synem. Sądzę, że moglibyśmy dojść do jakiegoś porozumienia.

Gregor. Przynajmniej zewnętrznego?

Werle. I toby już coś było. Pomyśl, Gregor, czy toby się nie dało przeprowadzić? Co?

Gregor patrzy na niego zimno. W tem się coś kryje.

Werle. Jakto?

Gregor. Musisz mię do czegoś potrzebować.

Werle. W tak blizkich stosunkach, jak nasze, zawsze jeden od drugiego czegoś potrzebuje.

Gregor. Takby się zdawać mogło.

Werle. Chciałbym, byś przez czas jakiś przy mnie w domu pozostał. Ja jestem samotnym teraz, i całe życie, zawsze czułem się samotnym; najbardziej zaś odczuwam to dziś, kiedy się starzeć począłem. Czuję potrzebę mieć kogoś koło siebie.

Gregor. Masz przecie panią Sörby.

Werle. Tak i ona stała mi się teraz, że się tak wyrażę, prawie niezbędną. To dzielna i pocziwa kobieta, ożywia cały mój dom, i bardzo jej też potrzebuję.

Gregor. No więc masz wszystko, czego pragniesz.

Werle. Tak, ale obawiam się, czy tak i nadal będzie. Kobieta żyjąca w takich stosunkach może sobie stworzyć dwuznaczną w oczach świata pozycję. A i mężczyźni także na korzyść to nie wychodzi.

Gregor. O, kto wydaje takie obiady jak ty, może sobie na wszystko pozwolić.

Werle. Tak, ale ona, mój drogi? Obawiam się, czy zechce dłużej do takiego stanu rzeczy się zastosować. A nawet, choćby się zastosowała, nawet gdyby z przywiązania do mninie narażała się na plotki, oszczerstwa, — to czy ty sam, przy twem tak rozwiniętem poczuciu sprawiedliwości nie znajdujesz, że...

Gregor przerywa mu. Krótko i węzłowato — czy nie zamyślasz się z nią ożenić?

Werle. A gdybym zamyślał? Co wtedy?

Gregor. O to samo i ja pytam. Co wtedy?

Werle. Czyby ci się to wydawało wstrętnem i przykrem?

Gregor. Nie, wcale nie, pod żadnym względem.

Werle. Nie mogłem przecież odgadnąć, czy ze względu na wspomnienie twej zmarłej matki —

Gregor. Ja nie jestem egzaltowanym.

Werle. Jesteś czy nie jesteś, w każdym razie zdjąłeś mi kamień z serca. Bardzo się cieszę, że w tej sprawie zyskałem twoje uznanie.

Gregor spogląda na niego z nienacka. Teraz widzę, do czego mię chcesz użyć.

Werle. Użyć? Co za wyrażenie?

Gregor. Nie bądźmy tak drażliwymi w wyborze wyrazów, przynajmniej wtedy, kiedy mówimy w cztery oczy. Śmieje się urywanym uśmiechem. Tam do kata! I dlatego to ja we własnej osobie tu do miasta przybyć musiałem! Z powodu pani Sörby przygotowuje się tu komedia życia rodzinnego. Tableau, między ojcem i synem! Coś zupełnie nowego!

Werle. Jak śmiesz mówić do mnie takim tonem?

Gregor. Czy tu istniało kiedykolwiek życie rodzinne? Nigdy, o ile pamięcią wstecz sięgam. Ale teraz mogą się pozory na coś przydać, bo przecież bezwątpienia dobrze wyglądać będzie opowiadanie, że syn — pietyzmem powodowany — pospieszył na ślub swego starzejącego się ojca. Jakże zblednąć wówczas będą musiały pogłoski o tem, co biedna nieboszczka znieść i wycierpieć musiała. Nie powstanie nawet iskierka podejrzenia, bo jej syn własny ją przytłumi.

Werle. Powiedz mi, czy jest na świecie człowiek, któryby tak bardzo był dla ciebie niemiłym, jak ja?

Gregor po cichu. Zanadto z blizka patrzyłem na ciebie.

Werle. Patrzyłeś na mnie oczyma twej matki. Zniża nieco głos. A powinienes pamiętać, że te oczy niezawsze dobrze patrzyły.

Gregor drząc. Wiem, do czego zmierzasz. Kto jednak ponosi winę nieszczęsnej słabości mej matki? Kto, jeśli nie ty i te wszystkie! — Ostatnia z nich była tą, z którą połączyłeś Hjalmarę Ekdala, kiedy już sam dłużej — o!

Werle wzrusza ramionami. Słowa, nie więcej jak słowa. Zupełnie jakbym słyszał twą matkę.

Gregor nie zważając na niego. A on teraz ze swoją wielką, dziecinną, niepodejrzliwą duszą żyje wpośród tego oszustwa, pod jednym dachem z taką kobietą i nie wie, że to, co domem swoim nazywa, zbudowane jest na kłamstwie. Postępuje krok naprzód. Kiedy się zastanawiam nad wszystkimi twymi czynami, zdaje mi się, że patrzę na pobojuwisko starganych ludzkich łosów we wszystkich kierunkach.

Werle. Zdaje mi się, że zbyt szeroka przepaść nas rozdziela.

Gregor z wymuszonym spokojem, kłaniając się. To samo i ja zauważyłem i dlatego lepiej będzie, jeśli wezmę czapkę i odejdę.

Werle. Odchodzisz? Z domu?

Gregor. Tak, bo teraz mam wreszcie cel życia przed sobą.

Werle. I jakiż to cel?

Gregor. Wyśmiałbyś mię tylko, gdybym ci go powiedział.

Werle. Samotny człowiek nie tak łatwo uśmiechem wybucha.

Gregor wskazuje na tylny pokój. Patrz, ojcze, tam szambelanowie bawią się w ślepą babkę z panią Sörby. — Dobranoc! — Do widzenia! Wychodzi na prawo. Słychać gwar i śmiechy towarzystwa zabawiającego się w tylnym pokoju.

Werle szepcze szyderczo za Gregorem. He! — Niedołęga! A jednak powiada, że nie jest egzaltowanym!

KONIEC AKTU PIERWSZEGO.

Akt II.

Atelier Hjalmara Ekdala.

Dosyć wielki pokój na poddaszu. Na prawo sufit ze szklanymi szybami do połowy zasłoniętymi błękitną zasłoną, ukośnie się zniża. W tyle w kącie drzwi wchodowe, na przodzie po tej samej stronie również drzwi, prowadzące do drugiego pokoju. Przy lewej ścianie także drzwi, między nimi piec żelazny. Przy ścianie tylnej szerokie przesuwane drzwi podwójne. Atelier jest ubogo, ale wygodnie urządzone i umeblowane. Koło drzwi na prawo w pobliżu ściany sofa, stół i kilka krzeseł. Na stole zapalona lampa osłonięta abażurem; przy piecu stary fotel. Różne aparaty fotograficzne i instrumenty do tego fachu używane tu i ówdzie rozstawione po pokoju. Przy tylnej ścianie na lewo od

drzwi przesuwanych pułka z książkami, szkatułki i flaszki z chemicznymi materiami, różne sprzęty i narzędzia. Fotografie i drobiazgi jak pędzel, papiery i t. d. leżą na stole.

Gina siedzi na krześle przy stole i szyje. *Jadwiga* siedzi na sofie, z rękami o stół opartymi, któremi osłania sobie oczy, zatykając uszy palcami. Czyta książkę.

Gina spogląda kilka razy na *Jadwigę* ukradkiem, z ukrywaniem niepokojem, później mówi. *Jadwigo! Jadwiga* nie słyszy. *Gina* głośniejsze. *Jadwigo!*

Jadwiga opuszcza ręce i wstaje. Co, mam?

Gina. Kochana *Jadwigo*, nie możesz już czytać dłużej.

Jadwiga. Ależ mamusi, jeszcze tylko troszeczkę.

Gina. Nie, nie, odłóż już książkę. Ojciec tego nie lubi. Sam nigdy wieczorami nie czytuje.

Jadwiga zamyka książkę. Ojciec prawie nigdy nie czytuje.

Gina odkłada szycie na bok, bierze ołówek i mały zeszytek ze stołu. Nie pamiętasz, wiele dziś wydaliśmy na masło?

Jadwiga. Koronę i 65 groszy.

Gina. Prawda. Zapisuje. Strasznie dużo wychodzi na masło. Dalej za kiełbasę i ser — zobacz — zapisuje i za szynkę — hm sumuje — razem. —

Jadwiga. Jeszcze piwo.

Gina. Tak, to się rozumie. Zapisuje. Dostyc dużo, ale cóż robić.

Jadwiga. My za to nic ciepłego nie jadłyśmy na obiad, bo ojciec wyszedł.

Gina. A tak, to dobrze. A zresztą wzięłam za fotografie 8 koron pięćdziesiąt.

Jadwiga. Naprawdę, aż tyle?

Gina. Tak, równe 8 koron pięćdziesiąt. Krótka pauza. Gina na nowo zabiera się do szycia, Jadwiga bierze papier i ołówkę i zaczyna rysować, przysłaniając sobie oczy lewą ręką.

Jadwiga. Trudno mi jakoś sobie wyobrazić, że ojciec zaproszony został na wielki obiad do pana Werlego.

Gina. Właściwie ojciec nie do pana Werlego został zaproszony. To jego syn go zaprosił. My z Werlem nie mamy nic do czynienia.

Jadwiga. Tak strasznie się cieszę, że jak ojciec przyjdzie do domu, przyniesie mi coś pięknego, o co miał prosić panią Sörby.

Gina. O, w tym domu są wcale piękne rzeczy, możesz mi wierzyć.

Jadwiga rysuje dalej. Już trochę jestem głodna. Stary Ekdal wchodzi z pliką papierów pod pachą i z pakieczkiem w kieszeni od surduta, drzwiami z korytarza.

Gina. Jak późno znowu ojciec wraca do domu!

Ekdal. Zamknęli kantor. Musiałem czekać, aż Groberg wreszcie będzie mógł przejść — hm —

Jadwiga. Czy dali dziadkowi co nowego do pisania?

Ekdal. Całą plikę papierów, — przypatrz się.

Gina. To dobrze.

Jadwiga. A i w kieszeni jeszcze jakiś pakieczek!

Ekdal. Tak? Niedorzeczność! To nic. Stawia

laskę w kacie. Mam teraz na długi czas roboty, Gino. Uchyła ostrożnie drzwi w tylnej ścianie i zaraz je zasuwą. Ha, ha, — śpią wszystkie razem w jednej kupce. A ona usadowiła się w koszu. Ha, ha!

Jadwiga. Czy tylko nie zmarznie w tym koszu?

Ekdał. Skądże znowu? Zmarznąć — przecież tyle jest słomy? Idzie do ostatnich drzwi na lewo. Zapewne są zapałki w moim pokoju.

Gina. Zapałki są na komodzie. Ekdał wychodzi do swego pokoju.

Jadwiga. To dobrze, że dziadek znowu tyle przepisywania dostał.

Gina. Tak, biedny, stary dziadek. W ten sposób zawsze zarobi sobie na swoje wydatki.

Jadwiga. No i nie będzie mógł przesiadywać przez całe popołudnie w tej obrzydliwej restauracji pani Eriksen.

Gina. Tak, to także dobrze. Krótka pauza.

Jadwiga. Ciekawam, czy jeszcze siedzą przy stole?

Gina. Może jeszcze i siedzą.

Jadwiga. Jakie tam doskonałe rzeczy do jedzenia być muszą. Z pewnością ojciec przyjdzie do domu wesoły i w dobrym humorze. Nieprawdaż, mamusiu?

Gina. Gdybyśmy mu jeszcze powiedzieć mogły, że wynajęliśmy już pokój.

Jadwiga. Dziś go przecież nie potrzebujemy.

Gina. Wiesz co, może się jeszcze da wszystko dobrze zrobić. Od tak długiego już czasu stoi próżny!

Jadwiga. Zdaje mi się, że dziś jeszcze możemy dać spokój z tem wynajęciem. Ojciec i tak będzie w dobrym humorze. Zostawmy to sobie na inny raz.

Gina spogląda na nią. Czy lubisz ojcu co dobrego powiedzieć, gdy wieczorem do domu powraca?

Jadwiga. O tak, wtedy zaraz staje się weselszym.

Gina zamyślona do siebie. Tak, jest w tem dużo prawdy.

Stary Ekdal wchodzi znowu i chce wyjść przednimi drzwiami
ne lewo.

Gina obraca się do połowy na krześle. Ojcie, czy chcesz czego z kuchni?

Ekdal. Ja już sobie sam przyniosę. Wychodzi.

Gina. Żeby tylko znowu nie rozrzucał żarzących się węgli. Zobacz no, Jadwigo, co on tam robi. Ekdal wraca ze szklanką wrzącej wody w rękę.

Jadwiga. Nalałeś sobie ciepłej wody, dziadku?

Ekdal. Tak. Muszę pisać, a atrament stwardniał jak ołów.

Gina. Może ojciec zje przedtem kolację. Kazałam odgrzać.

Ekdal. Co mi tam kolacya. Spieszę się — rozumiesz; niech nikt nie wchodzi do mego po-

koju — nikt — hm! — wychodzi do swego pokoju.

Gina i Jadwiga spoglądają po sobie.

Gina po cichu. Ciekawam, skąd bierze na to pieniądze?

Jadwiga. Groberg mu musiał dać trochę.

Gina. Nie, nie, Groberg zawsze mnie pieniądze przysyła.

Jadwiga. To może wziął gdzie flaszkę na kredyt.

Gina. Ależ biedny, stary dziadek nigdzie już nie ma kredytu.

Hjalmar Ekdal w płaszczu i szarym filcowym kapeluszu wchodzi z prawej strony.

Gina odkłada szycie i wstaje. Już z powrotem, Hjalmarze?

Jadwiga równocześnie zrywając się z miejsca. Tatko już wrócił?

Hjalmar kładzie kapelusz. Wszyscy prawie się już rozeszli.

Jadwiga. Tak wcześniej?

Hjalmar. Przecież to był obiad. Chce zdjąć płaszc.

Gina. Czekaj, pomogę ci.

Jadwiga. I ja także. Zdejmują z niego palto. Gina zawiesza go na wieszadle przy tylnej ścianie. Dużo było osób, tatusiu?

Hjalmar. O, nie wiele. Było nas przy stole dwunastu, może czternastu.

Gina. I ty rozmawiałeś ze wszystkimi?

Hjalmar. Tak trochę, ale Gregor zwłaszcza wziął mię w szczególną opiekę.

Gina. Czy Gregor zawsze taki brzydki?

Hjalmar. No jeszcze zupełnie dobrze nie wygląda. — Czy ojciec wrócił już do domu?

Jadwiga. Tak, dziadek siedzi u siebie i pisze.

Hjalmar. Czy nie mówił?

Gina. Nie, a cóż miał mówić?

Hjalmar. Czy nie wspominał o —? Zdawało mi się, że słyszałem, że był u Groberga. Chciałbym się z nim zobaczyć.

Gina. Nie warto.

Hjalmar. Dlaczego? Czy powiedział, żebym nie przychodził do niego?

Gina. Nie chce nikogo mieć dziś w swoim pokoju.

Jadwiga daje znak. Hm, — hm.

Gina nie spostrzega znaku. Był tu i przyniósł sobie ciepłej wody.

Hjalmar. Aha, siedzi.

Gina. Tak. Cóż robić?

Hjalmar. O Boże! Mój biedny, sędziwy ojciec! Zostawcie go w spokoju i nie zatruwajcie mu tej przyjemności.

Stary Ekdal w szlafroku z zapaloną fajką wychodzi ze swego pokoju.

Ekdal. Już wróciłeś do domu? Zdawało mi się, że słyszałem twój głos.

Hjalmar. Dopiero co przyszedłem.

Ekdal. Nie widziałeś mnie?

Hjalmar. Nie, ale powiedzieli mi, żeś przechodził. Chciałem pobiedz za tobą.

Ekdal. To pięknie z twojej strony, Hjalmarze. —
Cóż tam byli za ludzie?

Hjalmar. Rozmaici: był szambelan Flor i szambelan Balle i szambelan Kaspersen i szambelan — i tak dalej. Już sam nie pamiętam.

Ekdal kiwa głową. Słyszysz, Gino, siedział z samymi szambelanami.

Gina. Tak, to dom bardzo wytworny.

Jadwiga. Czy szambelanowie spiewali lub czy się z czem popisywali?

Hjalmar. Nie, gawędzili tylko. Prosili mnie wprowadzić, abym co zadeklował, ale nie chciałem.

Ekdal. Nie chciałeś?

Gina. Dlaczego, — mogłeś przecież zadość uczynić ich prośbie.

Hjalmar. Nie należy odrazu stawiać na czyjeś tam zawołanie. Chodzi tam i napowrót. Ja przynajmniej tego jestem zdania.

Ekdal. Tak, tak, Hjalmara nie łatwo dostać.

Hjalmar. Bo dlaczegoż właśnie ja miałbym się starać o bawienie drugih, zwłaszcza jeżeli nie jestem usposobiony. Niech i inni o tem pomyślą! Chodzą sobie te nicponie dzień po dniu od jednego domu do drugiego, jedzą i piją. Za to dobre jedzenie, które im dają, powinni się też wywdzięczać.

Gina. Ale tego przecież nie powiedziałeś?

Hjalmar przyspiewując. Ha, ha, ha — usłyszeli tam niejedną rzecz odemnie.

Ekdal. Nawet szambelanowie?

Hjalmar. Tak, i im się także dostało. Obojętnie. Później zaczęliśmy dysputę o tokajskim winie.

Ekdal. O winie tokajskim? to dobre wino, co?

Hjalmar staje. Może być dobrem. Ale nie wszystkie lata są jednakowe. Wiele zależy od tego, czy winne grona wystawione są na słońce.

Gina. Ty wiesz wszystko, *Hjalmarze*.

Ekdal. I nad tem dysputowaliście?

Hjalmar. Oni próbowali, ale ja wtedy zwróciłem ich uwagę, że się rzecz ma tak samo z szambelanami. I tym bowiem potrzeba słonecznego blasku — powiedziałem.

Gina. Co za pomysły!

Ekdal. Ha, ha, i to im powiedziałeś na deser.

Hjalmar. Tak, prosto w oczy.

Ekdal. Pomyśl, Gino, powiedział to szambelanom prosto w oczy.

Gina. Takim figurom powiedzieć coś prosto w oczy!

Hjalmar. Życzyłbym sobie jednak, byście nie mówili o tem więcej. Takich rzeczy się nie opowiada. Bo to zresztą wszystko stało się tak po przyjacielsku. To weseli, naturalni ludzie, dla czegożbym więc miał im się narażać, co?

Ekdal. Ale prosto w oczy?

Jadwiga przymilając się. Jak dziwnie, tatusiu, wyglądasz we fraku. Tak ci w nim do twarzy.

Hjalmar. Nieprawdaż? A ten jeszcze leży na mnie bez zarzutu. Zupełnie tak jakby na mnie był robiony; troszeczkę tylko pod pachami za ciasny — pomóż mi, Jadwigo. Zdejmuje frak. Włóżę sobie szlafrok. Gdzie jest szlafrok, Gino?

Gina. Masz. Podaje mu szlafrok, pomagając przy wkładaniu.

Hjalmar. Uważaj tylko, żeby Molvigowi jutro rano frak oddać.

Gina odkłada frak na bok. Dobrze, będę pamiętać.

Hjalmar wyciąga się. Zaraz jakoś człowiek czuje się swobodniejszym. Swobodne, wolne ubranie lepiej się jakoś nadaje do mojej postawy. Nieprawdaż, Jadwigo?

Jadwiga. Tak, tatusiu.

Hjalmar. Teraz jeszcze zawiążę sobie krawat z fantazyą — przypatrz się! Co?

Jadwiga. Tak, to bardzo dobrze się nadaje do włosów i gęstych, kędzierzawych włosów.

Hjalmar. Nie nazwałbym ich kędzierzawymi. Powiedziałbym raczej, że się układają w pukle.

Jadwiga. Tak, mają takie kędziory.

Hjalmar. To się nazywa loki.

Jadwiga przysuwając się do ojca. Tatusiu!

Hjalmar. Co takiego?

Jadwiga. Nie domyślasz się, tatusiu, o co mi idzie?

Hjalmar. Ależ zupełnie się nie domyślam.

Jadwiga na pół z płaczem, na pół z uśmiechem.
Jakże można męczyć mię tak długo!

Hjalmar. O cóż ci idzie właściwie?

Jadwiga przysuwając się jeszcze bliżej. Nie zwlekaj już tatusiu i daj mi te wszystkie piękne rzeczy, które mi obiecałeś przynieść.

Hjalmar. Ah, że ja też zupełnie o tem zapomniałem!

Jadwiga. Nie, tatusiu, chcesz mię tylko nastraszyć. Tatusiu, to nie ładnie! Gdzie one są, powiedz.

Hjalmar. No, tak zupełnie nie zapomniałem. Poczekaj chwilę. Mam tu coś dla ciebie, Jadwigo. Bierze frak i szuka po kieszeniach.

Jadwiga skacze i klaszcze w ręce. Mamusiu, mamusiu!

Gina. Widzisz, nie trzeba się nigdy naprzykrzać.

Hjalmar z karteczką w ręku. Patrz, jest tutaj.

Jadwiga. Przecież to tylko kawałek papieru

Hjalmar. To spis potraw. Cały spis potraw. To jest menu, to znaczy spis potraw.

Jadwiga. I już nic więcej?

Hjalmar. O reszcie zapomniałem, moje dziecko. Ale możesz mi wierzyć na słowo, że takie łaskomstwo, to rzecz nierozsądna, siadaj tu i czytaj

spis potraw a ja ci opowiem, jak one smakują. Patrz, Jadwigo.

Jadwiga tłumiąc płacz. Dziękuję! Siada nie czytając. *Gina* daje jej znak, który *Hjalmar* spostrzega.

Hjalmar przechadzając się. Ojciec rodziny musi pamiętać o najrozmaitszych nieprawdopodobnych rzeczach, a jeśli bagatelkę choćby jaką zapomni, zaraz widzi do koła siebie skwaszone twarze. Trudno, do wszystkiego trzeba się przyzwyczaić. Staje przy piecu obok starego *Ekdała*. Czy zaglądałeś już tam dziś, ojcze?

Ekdał. Naturalnie. Usadowiła się w koszu.

Hjalmar. Naprawdę? Zaczyna się już więc do kosza przyzwyczajać.

Ekdał. Ja to odrazu mówiłem. Ale widzisz, potrzeba jeszcze pomyśleć o urządzeniu.

Hjalmar. Tak, o rozmaitych ulepszeniach.

Ekdał. Są one koniecznie potrzebne.

Hjalmar. Pomówmy o nich trochę, ojcze. Chodź, siadaj na sofie.

Ekdał. Dobrze. Ale wpierw muszę nałożyć sobie fajkę. Trzeba ją także trochę oczyścić, hm — Wychodzi do swego pokoju.

Gina uśmiechając się do *Hjalmara*. Oczyścić fajkę, która —

Hjalmar. Daj pokój, Gino. — Biedny, skołatany starzec. — A więc ulepszenia. Trzeba będzie zaraz jutro zabrać się do nich.

Gina. Jutro nie będziesz miał czasu, *Hjalmarze*.

Jadwiga przerywając. O tak, mamusi.

Gina. Pomyśl tylko o kopiach, które trzeba retuszować. Już kilka razy po nie przysyłano.

Hjalmar. Tak? A więc znówu te kopie? Będą gotowe. Czy może nadeszły nowe zamówienia?

Gina. Niestety, nie. Mam na jutro, jak wiesz, tylko te dwa portrety.

Hjalmar. Nie więcej? Naturalnie, kiedy się nikt nie stara.

Gina. Cóż więc mam robić? Ogłaszałam, ile tylko się dało.

Hjalmar. Tak, gazety, gazety, widzisz sama, co to znaczy. Zapewne także nikt nie był, aby oglądać pokój do wynajęcia?

Gina. Nie, jeszcze nikt.

Hjalmar. Można się tego było spodziewać, skoro się nikt o to nie troszczy. — Ale trzeba się wziąć raz już energicznie, Gino.

Jadwiga. Może ci podać flet, tatusiu?

Hjalmar. Nie, nie chcę fletu. Nie chcę żadnej rozkoszy na tym świecie. Chodzi gwałtownie tam i napowrót. Tak, tak, od jutra wezmę się naprawdę do pracy. Tu na niczem zbywać nie powinno. Będę pracować, dopóki mi sił starczy.

Gina. Ależ drogi, kochany Hjalmarze, wcale nie to miałam na myśli.

Jadwiga. Może przynieść butelkę piwa, tatusiu?

Hjalmar. Nie, nie chcę, ja nie potrzebuję nic

dla siebie. staje. Piwa? — Czy nie mówiłaś o piwie?

Jadwiga żywo. Tak, świeżego, dobrego piwa.

Hjalmar. No, jeżeli już chcesz koniecznie, możesz przynieść jedną butelkę.

Gina. Tak, przynieś, może będzie trochę weselej. *Jadwiga* wybiega do kuchni.

Hjalmar przy piecu ją zatrzymuje, patrzy na nią, obejmując jej głowę i przyciska do piersi. *Jadwigo! Jadwigo!*

Jadwiga radośnie, ze łzami w oczach. O, mój drogi ojcze!

Hjalmar. Nie nazywaj mię tak. Siedziałem przy uczcie bogacza — i o sobie tylko myślałem i używałem rozkoszy przy obficie zastawionym, uginającym się od zbytków stole! A jednak mogłem!

Gina. Nie mów tak, *Hjalmarze*.

Hjalmar. Ale nie sądźcie mnie zbyt surowo. Wiecie, że i tak was kocham.

Jadwiga tuli się do niego. I my ciebie, ojcze, tak bardzo, tak szczerze.

Hjalmar. Jeśli zaś kiedy jestem rozdrażniony, to pamiętajcie przecie, że upadam pod nawałem trosk i ciężarów. — Nie, obciera oczy nie chcę piwa w takiej chwili. — Daj mi flet.

Jadwiga biegnie do szafy i podaje mu flet.

Hjalmar. Dziękuję! Tak, z fletem w rękę, tu wpośród was. *Jadwiga* siada obok *Giny* przy stole. *Hjalmar* chodź tam i napowrót, później bierze flet i poczyną grać motyw

czeskiego tańca ludowego z akcentem pełnym uczucia. Nagle przerywa grę i podaje Ginie lewą rękę, mówiąc ze wzruszeniem. Chociaż ciasno i ubogo pod naszym dachem, ale to zawsze nasz dom, Gino. A ja mówię, że tu nam dobrze. Zaczyna grać znowu. Słychać pukanie do drzwi od korytarza.

Gina. Cicho, Hjalmarze! Zdaje mi się, że ktoś puka.

Hjalmar kładzie flet na półce. Co, znowu! *Gina* otwiera drzwi.

Gregor Werle za drzwiami. Proszę wybaczyć.

Gina cofa się nieco. Ach!

Gregor. Czy tu mieszka fotograf Ekdal?

Gina. Tak.

Hjalmar idzie do drzwi. To ty, *Gregor*, tutaj? Proszę, wejdź, bardzo proszę.

Gregor wchodzi. Powiedziałem ci, że cię odwidzę.

Hjalmar. I już dziś wieczorem? Opuściłeś więc towarzystwo?

Gregor. I towarzystwo i dom ojca. Dobry wieczór, pani Ekdal. Czy pani mnie poznaje?

Gina. A jakże! Młodego pana Werlego przecież nie trudno poznać.

Gregor. Ja jestem podobny do matki, ją zaś pani pewno jeszcze pamięta.

Hjalmar. Mówisz, że opuściłeś dom ojca.

Gregor. Tak, przeniostem się do hotelu.

Hjalmar. Tak. Teraz jednak, rozbierz się i siadaj.

Gregor. Dziękuję. Zdejmuje okrywkę. Ma na sobie zwykłe szare ubranie wiejskiego kroju.

Hjalmar. Tu na sofie, proszę cię. Będzie wygodnie. Gregor siada na sofie, Hjalmar na krześle przy stole.

Gregor rozgląda się. A więc tu twój dom, Hjalmarze? Tu mieszkasz?

Hjalmar. Tak, to atelier, jak widzisz.

Gina. To największy pokój i dlatego najchętniej w nim siedzimy.

Hjalmar. Przedtem wygodniej mieszkaliśmy, ale to mieszkanie ma wielką zaletę — dobre światło.

Gina. A przytem mamy także pokój po drugiej stronie kurytarza, który wynajmujemy.

Gregor do Hjalmara. A więc masz nawet lokatorów?

Hjalmar. Jeszcze nie. To nie idzie tak prędko, mój drogi. Trzeba się dobrze starać. Do Jadwigi. Ale cóż tam słyszać z piwem, Jadwigo?

Jadwiga potakuje i wychodzi do kuchni.

Gregor. Więc to twoja córka?

Hjalmar. Tak, Jadwiga.

Gregor. To jedyne twoje dziecko?

Hjalmar. Jedyne. Największe nasze szczęście na ziemi i — zniża głos największa nasza troska, Gregorze.

Gregor. Co chesz przez to powiedzieć?

Hjalmar. Tak, największa nasza troska, bo zagraża jej niebezpieczeństwo utraty wzroku.

Gregor. Utraty wzroku!

Hjalmar. Dotychczas okazały się dopiero pierwsze oznaki i przez czas jakiś może być zupełnie dobrze. Ale doktor nas przestrzegał. Prawie, że nie ma nadziei.

Gregor. To straszne nieszczęście. I skądże na nią spadło?

Hjalmar wzdycha. To prawdopodobnie dziedziczne.

Gregor zmięszany. Dziedziczne?

Gina. Matka Hjalmara miała też krótki wzrok.

Hjalmar. Tak mówi ojciec. Ja już jej nie pamiętałem.

Gregor. Biedne dziecko! I jakżeż to znosi?

Hjalmar. Nie przypuszczasz przecie, żebyśmy mieli serce jej to oznajmić. Nie przeczuwa nawet niebezpieczeństwa. Wesoła i swobodna jak płochy ptaszek, leci tam w wieczną noc życia. Wzruszony. O, to bolesne, ciężkie, mój drogi. Jadwiga przynosi tacę z piwem i szklankami i stawia ją na stole. Hjalmar głaszcząc jej włosy. Dziękuję, dziękuję, Jadwigo. Jadwiga obejmuje go za szyję i szepcze mu parę słów do ucha. Nie, nie chcę teraz chleba z masłem. Patrząc na Gregora. Ale może ty pozwolisz?

Gregor. Dziękuję, dziękuję.

Hjalmar ciągle jeszcze żalonym tonem. Zawsze jednak możesz przynieść. Wolałbym przylepkę, a posmaruj dobrze masłem.

Jadwiga potakuje i wychodzi do kuchni.

Gregor który ją śledził oczyma. Wygląda jednak dobrze i zdrowo.

Gina. Bo zresztą, dzięki Bogu, nic jej nie brakuje.

Gregor. Z czem prawdopodobnie będzie do pani podobną. Ile lat ma teraz?

Gina. Właśnie kończy czternasty; pojutrze jej urodziny.

Gregor. Dosyć duża jak na swój wiek.

Gina. W ostatnim roku tak wyrosła.

Gregor. Po tych, którzy rosną, najlepiej się swój własny wiek poznaje. — Od jak długo państwo żyjecie ze sobą!

Gina. Ślub nasz był przed — przed piętnastu laty.

Gregor. Naprawdę tak dawno?

Gina uważnie spogląda na niego. Tak, naprawdę.

Hjalmar. Tak, tak, za kilka miesięcy będzie piętnaście lat. Zamyśla się. Dłużyć ci się musiały te lata, tam w kopalni, Gregorzu.

Gregor. Dłużyły mi się, gdy tam byłem. Teraz nie zdaję sobie nawet sprawy, jak ten czas przeszedł.

Ekdal wychodzi ze swego pokoju bez fajki, ale w dawnej czapce uniformowej na głowie; krok jego jest trochę chwiejny. Tak, Hjalmarze, teraz możemy wygodnie sobie zasiąść i pogawędzić — hm — kto to jest?

Hjalmar idąc naprzeciw niego. Ojciec, u mnie

jest ktoś. Gregor Werle — nie wiem, czy go pamiętasz.

Ekdal patrzy na Gregora, który wstał z miejsca. Werle? Syn? Czego chce odemnie?

Hjalmar. Nie chce niczego. On przyszedł do mnie.

Ekdal. No, więc się nic szczególnego nie stało?

Hjalmar. Zapewne że nie.

Ekdal podnosząc ręce. Nie dlatego, widzisz; ja nie jestem bojaźliwym, ale...

Gregor podchodzi do niego. Chciałem przynieść panu pozdrowienie od starych rewirów myśliwskich, panie poruczniku.

Ekdal. Od rewirów myśliwskich?

Gregor. Tak, od lasów tam w górze koło kopalni.

Ekdal. Tam w górze. Tak, niegdyś znano mię tam dobrze.

Gregor. Pan był wtedy namiętnym myśliwym.

Ekdal. Dawne czasy. Dawne. Pan patrzysz na mój mundur. Nie pytam się nikogo o pozwolenie noszenia go w domu. Jeżeli tylko nie chodzi w nim po ulicy, to...

Jadwiga przynosi chleb z masłem na talerzu i stawia go na stole.

Hjalmar. Siadaj przy nas, ojcze, i wypij szklankę piwa. Proszę cię, Gregor.

Ekdal pomrukując, chwilejnie zbliża się do sofy. Gregor siada na krześle obok niego, *Hjalmar* po drugiej stronie Gregora. *Gina* w pewnem oddaleniu od stołu siedzi i szyje, i *Jadwiga* siada przy ojcu.

Gregor. Czy pamiętasz pan, panie poruczniku, gdy Hjalmar i ja byliśmy jeszcze tam w górach i odwiedzaliśmy pana w lecie i na Boże Narodzenie?

Ekdal. To wy byliście? Nie, nie, nie przypominam sobie. To tylko mogę powiedzieć, że byłem zapalonym strzelcem. Dziewięciu niedźwiedzi sam własną ręką zastrzeliłem.

Gregor ze współczuciem. A teraz nie poluje pan nigdy?

Ekdal. Nie mogę tego powiedzieć. I teraz mi się zdarza. Nie w ten sam sposób co dawniej, bo las — widzi pan, las, las pije. — Czy las dobrze się tam trzyma?

Gregor. Nie jest tak wspaniałym jak za pańskich czasów. Mocno już przerzedzony.

Ekdal. Przerzedzony? Ciszej i trwożnie. To rzecz niebezpieczna. To pociągnie złe skutki. W lesie gnięździ się zemsta.

Hjalmar dopija swej szklanki. Proszę cię jeszcze, ojcze.

Gregor. Jak może taki człowiek jak pan, — taki człowiek do wolnego przyzwyczajony powietrza, żyć tu w tem dusznem mieście, wpośród czterech ścian?

Ekdal uśmiecha się i patrzy tajemniczo na Hjalmara. Tak źle jeszcze nie jest, nie.

Gregor. A to wszystko, do czego przyrósł umysł pański? Świeży powiewny wietrzyk, wolne

życie w lasach i górach ze zwierzyną i ptactwem? —

Ekdal uśmiecha się. Hjalmarze, czy mamy mu pokazać?

Hjalmar prędko, trochę zmieszany. Ależ ojcze, nie dzisiejszego wieczoru.

Gregor. Co on mi chce pokazać?

Hjalmar. Ach, nic takiego. Zobaczysz innym razem.

Gregor zwraca się napowrót do starego *Ekdala*. Myślałem, panie poruczniku, że będę mógł pana zabrać ze sobą w góry, bo wkrótce się tam udaję. Tu przecież nie ma pan nic takiego, coby pana rozweselać i zajmować mogło.

Ekdal patrzy na niego ze zdziwieniem. Nic, coby mię rozweselać i zajmować mogło?

Gregor. No, tu ma pan Hjalmara, ale on ma znowu swoją rodzinę. A taki człowiek jak pan, który ma zawsze pociąg do wolności i swobody. —

Ekdal uderza w stół. Hjalmarze, on musi teraz zobaczyć.

Hjalmar. Ależ ojcze, czy warto? Przecie już ciemno.

Ekdal. Gdzie tam, — księżyc świeci w całej pełni. Powiadam ci, musi zobaczyć. Wstaje. Puść mię i chodź mi pomóż.

Jadwiga. O tak, tak, tatusiu.

Hjalmar wstaje. No dobrze, już, dobrze.

Gregor do Głiny. Cóż to takiego?

Gina. O, niech pan tylko nie przypuszcza, że coś nadzwyczajnego.

Ekdal i Hjalmar podchodzą do tylnej ściany i usuwają na bok jedną część drzwi. Jadwiga pomaga staremu Ekdalowi, Gregor stoi przy sofie, Gina siedzi obojętnie i czyje. Przez otwarte drzwi widać dosyć wielki podłóżny zakąt poddasza z dwoma kominami, nieregularnie załamany. Przez kilka szyb w dachu oświeca kąślicę część zakątka, reszta pogrążona w głębokim cieniu.

Ekdal do Gregora. Niech pan się zupełnie przybliży.

Gregor idzie do niego. Co to jest właściwie?

Ekdal. Niech pan zobaczy — hm —

Hjalmar trochę zakłopotany. To mój ojciec sobie urządził.

Gregor przy drzwiach, zaglądając do środka. Pan trzyma kury, panie poruczniku.

Ekdal. Tak, tak, trzymamy kury. Teraz siedzą one na grzędach, niech pan im się jednak przy świetle dziennem przypatrzy. —

Jadwiga. Prócz tego zaś jest —

Ekdal. Pst! Pst! Nie mów jeszcze.

Gregor. Widzę także, że pan ma gołębie.

Ekdal. O tak, być może, to gołębie. Klatki ich zawieszone wysoko pod samym stropem, bo gołębie, jak panu wiadomo, lubią gnieździć się wysoko.

Hjalmar. Ale to nie są zwyczajne gołębie.

Ekdal. Naturalnie że nie zwyczajne! Mamy gołębie zagraniczne a także parę gołębi nakrapianych. Chodź pan tu bliżej! Czy widzisz pan drewnianą skrzynię tam przy tylnej ścianie?

Gregor. Do czegoż ona służy?

Ekdal. Tam, uważasz serdeczko, w nocy jest legowisko królików.

Gregor. Więc ma pan także króliki?

Ekdal. Ależ do licha, naturalnie że mamy króliki! Hjalmarze, on się pyta, czy my mamy króliki! Hm — ale teraz dopiero przychodzi rzecz najgłówniejsza. Tak teraz. Odstąp, Jadwigo. Stań pan tutaj, tak, trzeba się schylić. — Czy nie widzi pan kosza wypełnionego słomą?

Gregor. Tak, i widzę ptaka siedzącego w koszu.

Ekdal. Hm — „ptaka“ —

Gregor. Czy to nie kaczka?

Ekdal z zadowoleniem. Naturalnie, że kaczka.

Hjalmar. A jaka kaczka, co, jak ci się zdaje?

Jadwiga. To wcale nie zwyczajna kaczka.

Ekdal. Pst!

Gregor. Nie jest to także turecka kaczka.

Ekdal. Nie, panie — Werle, to wcale nie turecka kaczka, ale dzika kaczka.

Gregor. Co? Naprawdę dzika kaczka?

Ekdal. Tak, naprawdę. Ten ptak, jak pan powiada, — to dzika kaczka, — nasza dzika kaczka, drogi panie.

Jadwiga. To moja dzika kaczka, bo ona do mnie należy.

Gregor. I ona może żyć tutaj? I przyzwyczaiła się?

Ekdal. Może się pan przecie domysleć, że ma naczynie z wodą, w którem się pluska.

Hjalmar. Woda codzień się zmienia.

Gina do *Hjalmara*. *Hjalmarze*, straszne zimno leci do pokoju.

Ekdal. Hm — trzeba zamknąć. Zresztą nie trzeba im snu przerywać. Zasuń drzwi, *Jadwigo*. *Hjalmar* i *Jadwiga* zasuwają drzwi.

Ekdal. Innym razem będzie się pan mógł lepiej przypatrzeć. Siada na fotelu przy piecu. O, dzikie kaczki to dziwne stworzenia, niech mi pan wierzy.

Gregor. W jaki sposób schwytał ją pan, panie poruczniku?

Ekdal. Nie schwytałem jej wcale. Tu w mieście komuś ją zawdzięczamy.

Gregor trochę zmieszany. Może mojemu ojcu?

Ekdal. Tak, właśnie pańskiemu ojcu — hm—

Hjalmar. Ze też tak odrazu się domyśliłeś.

Gregor. Mówiłeś mi, że tyle mojemu ojcu zawdzięczasz, przyszło mi więc na myśl, że —

Gina. Nie otrzymaliśmy jednak tej kaczki wprost od pana *Werlego*.

Ekdal. Zawdzięczamy ją *Hagenowi Werlemu*, *Gino*. Do *Gregora*. Kiedyś strzelił do niej z łódki. Ale ma teraz takie słabe oczy ojciec pański, hm — i postrzelił ją też tylko.

Gregor. Dostała tylko parę śrucin?

Ekdal. Dwie, trzy może.

Jadwiga. I to właśnie w skrzydła, nie mogła więc podlecieć.

Gregor. Zapewne zatem poszła na dno?

Ekdal sennym głosem, ciężko. Rozumie się. Zawsze tak jest z dzikimi kaczkami. Opadają nadno, jak mogą najgłębiej, zakopują się w muł i wodne sitowie na dnie jeziora. I już nigdy nie wypływają na powierzchnię.

Gregor. Ale pańska dzika kaczka, panie poruczniku, przecież wypłynęła.

Ekdal. Ojciec pański ma nieposkromionego, dzikiego psa; ten pies zanurzył się w wodę i wyciągnął kaczkę.

Gregor do *Hjalmara*. I wyście ją wtedy dostali?

Hjalmar. Nie odrazu; przedtem ojciec twój zabrał ją ze sobą do domu, nie mogła się jednak przyzwyczaić i *Pettersen* miał ją zabić.

Ekdal drzemiąc. Hm — *Pettersen* — barania głowa.

Hjalmar ciszej. Później widzisz, nam się dostała. Ojciec zna *Pettersena* a że słyszał historię o dzikiej kaczce, wyjednał, że mu ją dano.

Gregor. I tutaj w tym zakęcie żyje swobodnie?

Hjalmar. Zupełnie się przyzwyczaiła; utyliła nawet. Zresztą musiała już zapomnieć o swobodnem, dzikim życiu. Tak sobie przynajmniej można to tłumaczyć.

Gregor. Masz słuszość, *Hjalmarze*. Nie pozwól jej tylko ujrzeć kiedykolwiek napowrót nieba

ni wodnej przestrzeni. — Ale ja już dłużej nie mogę siedzieć. Zdaje mi się, że twój ojciec śpi.

Hjalmar. O, jeśli o to tylko idzie...

Gregor. Ale prawda, mówiłeś, że masz pokój do wynajęcia, wolny pokój?

Hjalmar. Tak, ale — czy wiesz może o kim?

Gregor. Czybym ja tego pokoju nie mógł wynająć?

Hjalmar. Ty?

Gina. Nie, pan, panie Werle. —

Gregor. Gdybym ten pokój mógł odnająć, wprowadziłbym się zaraz jutro.

Hjalmar. Ależ jak najchętniej.

Gina. Panie Werle, to pokój wcale nie dla pana.

Hjalmar. Jakże możesz, Gino, mówić coś podobnego?

Gina. Bo ten pokój nie jest ani wielki, ani dość jasny i...

Gregor. Wiele mi na tem nie zależy, pani Ekdal.

Hjalmar. Mnie się zdaje, że to wcale przyzwoity pokój i dość dobrze umeblowany.

Gina. Ależ ci dwaj, co na dole mieszkają...

Gregor. Jacy dwaj?

Gina. Jeden był nauczycielem domowym. —

Hjalmar. Kandydat teologii Molurg.

Gina. I doktor, nazwiskiem Relling.

Gregor. Relling? Znam go trochę. Praktykował niegdyś w górach.

Gina. Obydwaj ciągle hulają. Wieczorem nigdy prawie niema ich w domu, w nocy późno bardzo wracają i to nie zawsze. —

Gregor. Do tego łatwo się przyzwyczaić. Mam nadzieję, że i mnie się tak uda jak dzikiej kacze. —

Gina. Hm, niech pan się jeszcze namyśli.

Gregor. Widzę, że pani nie bardzoby sobie życzyła mieć mię w swoim domu.

Gina. Ależ, niech Bóg broni; skąd panu coś podobnego przyszło do głowy?

Hjalmar. Bo w istocie dziwną jesteś, Gino. Do Gregora. Ale powiedz mi naprzód, czy zamierzasz tu w mieście pozostać?

Gregor wkładając okrywkę. Tak, tak, teraz zamierzam pozostać.

Hjalmar. I nie w domu ojca? Co zamierzasz począć ze sobą?

Gregor. Gdybym ja sam wiedział! Nie byłoby wówczas jeszcze tak źle. Ale jeśli ma się nieszczęście nazywać się Gregor — „Gregor“ i jeszcze „Werle“ do tego. Czy słyszałeś coś równie wstrętnego?

Hjalmar. Mnie się to wcale złem nie wydaje.

Gregor. Ha! Miałbym ochotę plunąć na człowieka, który się tak nazywa. Ale skoro się jest na tyle nieszczęśliwym na tym świecie, aby być Gregorem — Werle, tak jak ja. —

Hjalmar śmieje się. Ha, ha, gdybyś nie był

Gregorem Werle, czem chciałbyś być właściwie?

Gregor. Gdybym miał możność wyboru, najchętniej zostałbym zwinnym psem.

Gina. Psem!

Jadwiga mimowoli. Ależ nie!

Gregor. Tak, psem o szczególnej zwinności; psem, który na dnie wyławia dzikie kaczki, skoro się zanurzą i zakopią w szlamie i błocie.

Hłajmar. Daruj, ale nie rozumiem ani słowa.

Gregor. O, bo i nic w tem nie ma szczególnego. Jutro rano zatem — sprowadzam się. Do Giny. Niech pani nie zadaje sobie żadnego trudu. ja zrobię wszystko sam. Do Hłajmara. Resztę umówimy jutro. Dobranoc pani, pani Ekdał. Kłania się Jadwidze. Dobranoc!

Gina. Dobranoc, panie Werle!

Jawiga. Dobranoc!

Hłajmar zapala świecę. Poczekaj, poświecę ci, na schodach pewnie ciemno.

Gregor i Hłajmar wychodzą drzwiami od kurytarza.

Gina patrzy przed siebie z rękami opuszczonemi. Co za dziwny pomysł, żeby chcieć być psem!

Jadwiga. Wie mama co, mnie się zdaje, że on przez to co innego chciał powiedzieć.

Gina. Cóżby takiego?

Jadwiga. Nie wiem, ale tak się zdaje, że co innego myślał niż mówił. I to przez cały czas.

Gina. Tak myślisz? Zawsze to dziwne.

Hłajmar wraca. Lampa się jeszcze pali. Gasi

świecę i stawia ją na stole. No, przecież nareszcie będzie można co zjeść. Zaczyna jeść chleb z masłem. No widzisz, Gino, jeśli się tylko ktoś stara, to —

Gina. Jakto, jeśli się ktoś stara?

Hjalmar. To szczęście, żeśmy wreszcie ten pokój odnajęli. A to też pomyśl sama, takiemu człowiekowi jak Gregor, — staremu dobremu przyjacielowi.

Gina. Tak, to bardzo dobrze. A jednak nie wiem sama, co mam o tem myśleć.

Jadwiga. Zobaczy mamusia, że wszystko będzie dobrze.

Hjalmar. Dziwna jesteś; przedtem tak upierałaś się przytem, żeby pokój był wynajęty a teraz żałujesz.

Gina. Wolałabym, żeby to był kto inny. Powiedz sam, co na to powie jego ojciec, stary Werle?

Hjalmar. Stary Werle? Co on ma nam do powiedzenia?

Gina. Łatwo przecież się domysleć, że coś między nimi zająć musiało, skoro młody z domu się wyprowadził. Wiesz przecie, w jakim oni są do siebie stosunku.

Hjalmar. Być może, — ale —

Gina. A teraz Werle przypuścić może, że ty miałeś w tem jakiś interes.

Hjalmar. Niech sobie przypuszcza, co mu się podoba! Stary Werle uczynił dla mnie bardzo

wiele, nie mogę zaprzeczyć. Nie myślę jednak, być od niego na zawsze zależnym.

Gina. Ależ, kochany Hjalmarze, twój stary ojciec może to odpokutować. Kto wie, czy nie straci tego małego, marnego zarobku, jaki mu daje Groberg.

Hjalmar. Prawie powiedziałbym: niech i do tego przyjdzie! Czyż to nie jest dość upokarzającym dla takiego jak ja człowieka, że jego ojciec żyje prawie jak żebrak? Ale wkrótce nadejdzie czas. Bierze drugi kawałek chleba z masłem. Zaprawdę spełnię jeszcze zadanie życia mojego!

Jadwiga. O tak, tak, kochany tatusiu!

Gina. Ciszej. Nie budźcie go!

Hjalmar. Spełnię je, powiadam. Kiedyś nadejdzie dzień, tak, — i dlatego dobrze żeśmy ten pokój wynajęli. Stałem się bardziej niezależnym. A niezależnym musi być człowiek, który ma przed sobą zadanie życia. Pochylając się do fotelu starego Ekdala. Biedny, stary, siwowłosy ojcie, licząc na twego Hjalmara, ma on barki szerokie i silne. Zbudzisz się pewnego dnia i wtedy — do Giny. Może ty nie wierzysz?

Gina wstaje. Owszem jak najzupełniej. Ale teraz trzeba ojca przenieść do łóżka.

Hjalmar. A zatem! Przenoszą ostrożnie starego Ekdala.

Akt III.

Mieszkanie Hjalmara Ekdala.

Ranek; światło dzienne wpada przez okno niezastłonięte. Hjalmar siedzi przy stole zajęty retuszowaniem fotografii, kilka fotografii leży przed nim na stole. Wkrótce po podniesieniu zasłony wchodzi Gina w kapeluszu i okrywce, z koszem nakrytym w reku.

Hjalmar. Już jesteś z powrotem, Gino?

Gina. Tak, trzeba się śpieszyć. Stawia koszyk na krześle i zdejmuje okrywkę.

Hjalmar. Czy zaglądałaś do pokoju Gregora?

Gina. Zaglądałam. Ładnie tam wygląda, nie ma co mówić. Dobrze się urządził zaraz po sprowadzeniu się.

Hjalmar. No, co takiego?

Gina. Chciał sobie wszystko sam robić, jak mówił. Tak też i pierwszego dnia zaczął od napalenia w piecu, zatknął wentyl i cały pokój zaraz napełnił się dymem. Co tam było za powietrze — hu —

Hjalmar. Co ty mówisz?

Gina. To jednak najlepsze, że chcąc ugasić ogień w piecu, lać tam począł wodę, tak że cała podłoga wygląda teraz jakby w chlewie.

Hjalmar. To wcale nieprzyjemne.

Gina. Kazałam przyjść żonie stróża i wyszorować podłogę, ale i tak do południa nie będzie tam można wysiedzieć.

Hjalmar. Gdzie on się tymczasem podziewa?

Gina. Wyszedł na chwilę, jak mówił.

Hjalmar. I ja byłem u niego przez krótką chwilkę — gdy ty wyszłaś.

Gina. Wiem. Zaprosiłeś go na śniadanie.

Hjalmar. Na takie małe śniadanko, rozumiesz. To przecie pierwszy dzień; trudnoby się wykreścić. Musisz mieć chyba coś w domu.

Gina. Jakoś się tam będzie musiało znaleźć.

Hjalmar. Nie oszczędzaj jednak zanadto, gdyż jak mi się zdaje, Relling i Molvig przyjdą także. Spotkałem wtedy właśnie Rellinga na schodach, no i tak, widzisz, — musiałem...

Gina. Co, i ci dwaj jeszcze?

Hjalmar. Na miły Bóg, dwóch więcej, dwóch mniej, to przecie sprawy nie zmienia.

Stary Ekdal otwiera swoje drzwi i zagląda do pokoju. Chodź no tu, Hjalmarze — spostrzega Ginę. Ach ty!

Gina. Czego sobie życzysz, dziadku?

Ekdal. Nie, już dobrze — hm! Znika za drzwiami.

Gina bierze koszyk. Uważaj tylko na niego, żeby nie wyszedł.

Hjalmar. Dobrze, możesz być spokojna. — Ale, uważasz Gino, przynies trochę śledzi zaprawianych; Relling i Molvig hulali tej nocy, to im, dobrze zrobi.

Gina. Jeżeli mi tylko tej chwili na kark nie spadną — to...

Hjalmar. O, jeszcze masz dość dużo czasu. Nie potrzebujesz nawet się śpieszyć.

Gina. Tak, ty zaś tymczasem możesz jeszcze trochę popracować.

Hjalmar. Siedzę przecież i pracuję. Pracuję tyle, ile mi sił starczy!

Gina. Bo wtedy raz wreszcie się tego pozbędziesz. Wychodzi z koszykiem do kuchni.

Hjalmar przez chwilę retuszuje fotografię, w pracy jego widać ociążałość i niechęć.

Ekdal zagląda do pokoju i mówi po cichu. Masz co do roboty?

Hjalmar. Tak, siedzę tu i męcę się nad temi fotografiami.

Ekdal. Ha, jeżeli ci tak pilno — hm. Wchodzi napowrót do swego pokoju, zostawiając drzwi otwarte.

Hjalmar przerywa na chwilę swoją pracę, potem odkłada pędzel i zbliża się do drzwi. A ty masz jakie zajęcie, ojcze?

Ekdal mruczy w drugim pokoju. Ty masz sobie swoje zajęcie, ja mam swoje! Hm.

Hjalmar. No, dobrze już, dobrze. Siada znowu do pracy.

Ekdal podchodzi do drzwi. Hm; widzisz Hjalmarze, tak bardzo znowu mi się nie śpieszy.

Hjalmar. Myślałem, że przepisujesz coś pilnego.

Ekdal. Przecież do licha, Groberg może poczekać dwa lub trzy dni. O ile mi wiadomo, rzecz ta nie jest przecie tak ogromnie pilna.

Hjalmar. Naturalnie, a i ty nie jesteś niewolnikiem.

Ekdal. Tak, a przytem trzeba zobaczyć, co się tam dzieje.

Hjalmar. Prawda. Czy może chcesz tam wejść? Mam otworzyć drzwi?

Ekdal. To wcale niezły pomysł.

Hjalmar wstaje. No, przecież się tego pozbyłem.

Ekdal. I tak dopiero na jutro ma być gotowe. Dzień urodzin jest jutro? — Hm?

Hjalmar. Tak, jutro. Obydwaj odsuwają drzwi. Słońce prześwieca przez szyby w dachu, kilka gołębi lata u pułapu, inne siedzą na drążkach, kury w tyle gdakają.

Hjalmar. No, wejdźże tam, ojcze.

Ekdal wchodzi. Nie wejdiesz zemną?

Hjalmar. Tak, wiesz co, ojcze, zdaje mi się — spostrzega Ginę w drzwiach od kuchni. Ja? Nie, nie mam czasu, muszę pracować. Pociąga za sznur i spuszcza zasłonę, której część dolna składa się ze starego żaglowego płótna, górna zaś z odwróconej sieci na ryby. W ten sposób zakąt pokoju częściowo jest zakryty.

Hjalmar idzie do stołu. Tak, teraz będę mógł chwilkę spokojnie posiedzieć.

Gina. Czy on chciał znowu zacząć tam swoją gospodarkę?

Hjalmar. Może byłoby lepiej, żeby był poszedł do pani Eriksen? Siada. Czego chcesz tutaj? Mówiłaś przecie —

Gina. Chciałam się tylko zapytać — czy tu mam nakryć do śniadania?

Hjalmar. Naturalnie, że tu. Ale nikt jeszcze chyba tak wcześnie nie przyszedł?

Gina. Nie, ja mówię też tylko o tej parze narzeczonych, którzy chcą zawsze razem siadać do fotografii.

Hjalmar. Do dyabła! Mogli sobie wybrać inny dzień!

Gina. Powiedziałam im też, kochany Hjalmarze, aby przyszli w południe, kiedy będziesz spał.

Hjalmar. No, to dobrze! Więc będziemy mogli jeść tutaj.

Gina. Nie śpieszy mi się wcale z nakryciem. Możesz jeszcze zupełnie spokojnie pracować przy tym stole.

Hjalmar. Zdaje mi się, widzisz przecie, siedzę i pracuję jak tylko mogę.

Gina. Później będziesz miał za to czas wolny.

Wychodzi do kuchni. Krótka pauza.

Ekdal w drzwiach za siecią. Hjalmarze!

Hjalmar. Co takiego?

Ekdal. Zdaje mi się, że trzeba będzie koryto z wodą usunąć.

Hjalmar. Zawsze to mówiłem.

Ekdal. Hm, hm — odchodzi od drzwi.

Hjalmar pracują przez chwilę, później ukradkiem spogląda na sieć i wstaje do połowy z miejsca.

Jadwiga wychodzi z kuchni.

Hjalmar siada prędko napowrót. Czego chcesz tutaj?

Jadwiga. Chciałam się z tobą tylko zobaczyć, tatusiu!

Hjalmar po krótkiej chwili. Może przychodzisz tu szpiegować? Uważać na mnie?

Jadwiga. Skądże znowu, tatusiu!

Hjalmar. Co matka robi?

Jadwiga. Matka właśnie teraz przyrządza śledzie. Zbliża się do stołu. Może ci trochę pomódz, tatusiu?

Hjalmar. Nie chcę. Trzeba, bym sam wszystko robił — dopóki mi sił starczy. — Nie troszcz się, Jadwigo, dopóki twój ojciec będzie miał zdrowie. —

Jadwiga. Nie mów takich brzydkich rzeczy tatusiu.. Chodzi przez chwilę po pokoju, potem zagląda do starego Ekdala.

Hjalmar. Co on teraz robi?

Jadwiga. Szuka zapewne nowego miejsca dla koryta.

Hjalmar. Sam sobie nigdy nie da rady. A ja muszę tu siedzieć.

Jadwiga idzie do niego. Daj mi pędzel, tatusiu, ja już potrafię.

Hjalmar. Ależ to nie ma sensu, psujesz sobie oczy.

Jadwiga. Wcale nie. Proszę tylko o pędzel.

Hjalmar. No zresztą na jedną, dwie minuty.

Jadwiga. Cóżby mi tam znowu szkodzić mogło?

Bierze pędzel. Tak. Siada. A tu mam wzór, którego się będę trzymać.

Hjalmar. Ale nie zepsuj sobie oczu! Rozumiesz? Ja nie chcę brać na siebie odpowiedzialności, ty musisz sama za siebie odpowiadać, ostrzegam cię.

Jadwiga retuszuje. Dobrze, dobrze, tatusiu.

Hjalmar. Wcale zgrabnie. No, tylko parę minut. Usuwa na bok zasłone. Jadwiga siedzi przy pracy; słychać rozmowę Hjalmara i Ekdala.

Hjalmar zbliża się do sieci. Jadwigo, daj mi obcęgi z pułki. I młotek także. Odwraca się. Zobaczysz teraz, ojciec. Zobaczysz, czy nie mam racji.

Jadwiga podaje mu narzędzia.

Hjalmar. Dziękuję ci. Dobrze, że przyszedłem. Wchodzi do środka. Słychać rozmowę i uderzenia młotka. Jadwiga przez chwilę się przypatruje, tymczasem ktoś puka do drzwi od korytarza, ona jednak nie zwraca na to uwagi.

Gregor Werle bez kapelusza i okrywki wchodzi i staje przy drzwiach. Hm!

Jadwiga odwraca się i idzie naprzeciw niego. Dzień dobry. Niech pan pozwoli bliżej.

Gregor. Dziękuję. Patrzy na ziemię. Zdaje się, że jacyś robotnicy tu coś robią.

Jadwiga. Nie, to ojciec i dziadek. Pójdę powiedzieć, że pan przyszedł.

Gregor. Nie, nie trzeba. Mogę chwileczkę poczekać. Siada na sofie.

Jadwiga. Taki nieporządek. Chce usunąć fotografie.

Gregor. Niech pani zostawi. Czy to zamówione fotografie?

Jadwiga. Tak. Miałam pomódz ojcu w ich wykończeniu.

Gregor. Niech pani się nie krępuje moją obecnością.

Jadwiga. Dobrze. Usuwa rzeczy ze stołn na swoje miejsce i siada do pracy; Gregor przypatruje się jej w milezeniu.

Gregor. Czy dzika kaczka dobrze spała tej nocy?

Jadwiga. Dziękuję, zdaje mi się, że dobrze.

Gregor zwraca się do zakąta. Przy świetle dziennem wygląda tam zupełnie inaczej jak wczoraj przy świetle księżyca.

Jadwiga. Tak, jest wielka różnica. Rano wygląda inaczej jak w południe, a podczas deszczu lub pogody także inaczej.

Gregor. Pani na to zwróciła uwagę?

Jadwiga. Przecież to tak łatwo zobaczyć.

Gregor. Czy pani także chętnie tam przy dzikiej kacze przybywa?

Jadwiga. O, najchętniej, jak się tylko da.

Gregor. Ale pani nie ma zapewne dużo wolnego czasu. Pani chodzi do szkoły?

Jadwiga. Nie, teraz już nie. Ojciec obawia się, bym sobie oczów nie popsuła.

Gregor. A więc sam panią uczy?

Jadwiga. Ojciec obiecał mi, że mię uczyć będzie, ale nie może znaleźć na to czasu.

Gregor. Czy kto inny nie mógłby go wyręczyć?

Jadwiga. Chyba kandydat teologii Molvig, ale ten nie zawsze jest...

Gregor. Zapewne często się upija?

Jadwiga. Tak, niestety.

Gregor. No, w takim razie ma pani bardzo dużo czasu. A tam musi być formalnie zupełnie odrębny świat dla pani. Nieprawdaż?

Jadwiga. Tak świat zupełnie odrębny. A przytem tam są takie dziwne rzeczy.

Gregor. Tak?

Jadwiga. Naprzykład wielkie szafy z książkami, a w wielu z tych książek są obrazki.

Gregor. Aha!

Jadwiga. Jest także stare biurko z szufladami i zatrzaskami i zegar z wychodzącymi figurami. Ale zegar ten już nie idzie.

Gregor. Więc czas się zatrzymał — tam przy dzikiej kacze.

Jadwiga. Tak. Dalej jest także szafka z farbami i jeszcze różne inne rzeczy, ale przede-wszystkiem książki.

Gregor. Pani lubi czytać te książki?

Jadwiga. O tak, gdy je rozumiem, ale większa część napisana jest po angielsku. Ale wtedy oglądam obrazki. Szczególniej jest tam jedna wielka książka pod tytułem: „Harrisons History of London.“ Ma ona pewno już ze sto lat, a jest w niej cała masa obrazków. Na pierwszej zaraz stronie

jest śmierć z klepsydrą i to nie jest ładne. Ale są także inne obrazki przedstawiające kościoły, zamki, ulice i wielkie po morzu pływające okręty.

Gregor. Skąd się jednak te wszystkie rzeczy tutaj wzięły?

Jadwiga. Mieszkał tu kiedyś stary kapitan okrętowy, do którego one należały. Ludzie nazywali go „latającym Holendrem“ i to jest właśnie komiczne, bo on wcale nie był Holendrem.

Gregor. Tak?

Jadwiga. Naprawdę Ale kiedyś jak wyjechał tak już nie wrócił i te rzeczy tu po nim zostały.

Gregor. Niech mi pani jednak powie, czy jak pani te wszystkie obrazki ogląda, nie przychodzi pani czasem ochota wydostać się stąd i na własne oczy zobaczyć ten wielki rzeczywisty świat?

Jadwiga. O, wcale nie! Ja chcę na zawsze zostać w domu i pomagać ojcu i matce.

Gregor. W retuszowaniu fotografii, nieprawdaż?

Jadwiga. Nie tylko w tem. Najchętniej chciałabym się uczyć wykonywania takich obrazków jak w angielskich książkach.

Gregor. Hm — a cóż ojciec pani na to powiada?

Jadwiga. Zdaje mi się, że ojciec nie bardzo tego sobie życzy. Jest dość dziwny pod tym względem. Niech pan sobie wyobrazi, ojciec mówi, że powinnam się uczyć wyplatania koszyków i robótek ze słomy! Ale mnie się zdaje, że to być nie może.

Gregor. I mnie się także tak zdaje.

Jadwiga. A jednak ojciec ma słuszość. Gdybym się była nauczyła wyplatania koszyków, mogłabym teraz zrobić nowy koszyk dla dzikiej kaczki.

Gregor. Tak mogłaby pani, i o ile się zdaje, zrobiłaby to pani najchętniej.

Jadwiga. Naturalnie, to przecież moja dzika kaczka.

Gregor. Tak, ona należy do pani.

Jadwiga. Do mnie należy. Ale ojcu i dziadkowi pożyczam jej zawsze, skoro tylko sobie tego życzą.

Gregor. A na cóż oni jej potrzebują?

Jadwiga. Pielęgnują ją i pracują nieraz nad urządzeniem dla niej i tak dalej.

Gregor. Widzę, że dzika kaczka ma tu wielkie uważanie.

Jadwiga. Naturalnie, bo to ptak naprawdę dziki. A jednak szkoda jej, nie ma nikogo, do kogo przywiązaćby się mogła biedaczka.

Gregor. Nie ma rodziny, jak króliki. —

Jadwiga. A i kury mają towarzystwo, w którym jako pisklęta jeszcze przebywały. A ona jesi zupełnie od swoich odłączona i w tem właśnie jest z tą dziką kawką rzecz szczególna. Nikt jej nie zna, nikt nie wie, skąd właściwie pochodzi.

Gregor. A przecież swego czasu była w głębiach jeziora.

Jadwiga patrzy na niego ukradkiem, stłumia uśmiech i mówi. Dlaczego pan mówi „w głębiach jeziora“?

Gregor. A jak mam mówić?

Jadwiga. Mogłby pan powiedzieć: „na dnie jeziora.“

Gregor. Czyż to nie to sama co „w głębiach jeziora“?

Jadwiga. Zapewne, ale brzmi to tak dziwacznie, gdy inni mówią: „w głębiach jeziora“!

Gregor. Dlaczego? Niech pani powie dlaczego?

Jadwiga. Nie, nie mogę. To bardzo niedorzeczne.

Gregor. Ależ z pewnością nie. Niech mi pani tylko powie, dlaczego się pani uśmiechnęła?

Jadwiga. Ponieważ zawsze, gdy tak odrazu myślę o tem, co się tam dzieje, wydaje mi się, że cały ten zakąt i to, co tam jest nazywa się „głębią jeziora.“ Ale to bardzo niedorzeczne.

Gregor. Niech pani tego nie mówi.

Jadwiga. Przecież to tylko zakąt poddasza.

Gregor. Czy pani jest tego pewną? Patrzy na nią badawczo.

Jadwiga zdziwiona. Że to jest zakąt poddasza?

Gregor. Tak, czy pani jest tego pewną?

Jadwiga w milczeniu patrzy na niego z otwartemi ustami. Gina wchodzi z nakryciem z kuchni.

Gregor wstaje. Może za wcześnie do państwa przyszedłem?

Gina. Gdzieś przecie schronić się pan musiał; a zresztą i tak wkrótce będzie wszystko gotowe. Sprzątnij stół, *Jadwigo.* *Jadwiga* sprząta i wraz z *Giną* zajmuje się nakryciem, *Gregor* w czasie tego przerzuca kartki albumu.

Gregor do *Giny*. Słyszałem, że pani umie retuszować.

Gina spogląda na niego. Tak, umiem.

Gregor. To się szczęśliwie złożyło.

Gina. Jakto szczęśliwie?

Gregor. Że Ekdal został fotografem.

Jadwiga. Matka umie także fotografować.

Gina. Tak, miałam dość sposobności nauczyć się tej sztuki.

Gregor. Więc pani właściwie kieruje interesem?

Gina. Jeżeli Ekdal nie ma czasu —

Gregor. Wystawiam sobie, że dziadek wiele czasu zabierać mu musi.

Gina. Tak, a przytem to nie jest zajęcie dla takiego jak Hjalmar człowieka, fotografować dzieci i dziewczęta.

Gregor. I mnie się tak zdaje, gdy jednak raz już wstąpił na tę drogę...

Gina. Przecież nie przypuszcza pan chyba, panie Werle, by Hjalmar był takim sobie zwyczajnym fotografem.

Gregor. Zapewne. Ale! Z zakątu poddasza słysząc strzał. *Gregor* zrywa się z miejsca. Co to znaczy?

Gina. O, to oni znowu strzelają.

Gregor. Jakto strzelają?

Jadwiga. Tak, polują.

Gregor. Polują? Zbliża się do zakąta. Ty polujesz, Hjalmarze?

Hjalmar po za siecią. Ach, to ty! Nie wie-

działem, byłem tak zajęty — do Jadwigi. A ty mi nie nie powiedziałaś! Wchodzi po atelier.

Gregor. Strzelasz tam w tym zakęcie?

Hjalmar pokazuje pistolet o dwóch lufach. Tak, tylko trochę z tego.

Gina. Ty i dziadek z tym pigtoletem, wywołacie jeszcze kiedy nieszczęście.

Hjalmar gniewnie. Mówiłem ci już, że ta broń, nazywa się „pistolet.“

Gina. To rzeczy nie zmienia.

Gregor. Więc zostałeś myśliwym, Hjalmarze?

Hjalmar. Ot, czasem strzela się trochę do królików. Naturalnie robię to tylko dla ojca.

Gina. Mężczyźni są tak dziwaczni, muszą mieć zawsze jakąś dywizję.

Hjalmar z gniewem. Tak, musimy mieć zawsze jakąś „dywersję“.

Gina. Ależ ja właśnie to mówię.

Hjalmar. Tak, hm. — Do Gregora. A przytem widzisz, zakąt tak szczęśliwie jest położony, że nikt strzałów nie słyszy. Kładzie pistolet na najwyższej pułce. Nie ruszaj pistoletu, Jadwigo! Jedna lufa jest jeszcze nabita, pamiętaj!

Gregor zaglądając przez sieć. I strzelbę masz także, jak widzę.

Hjalmar. To stara strzelba ojca. Nie można już z niej strzelać, bo zamek jest popsuty. Ale zawsze to rozrywka, gdy ją rozbieramy, czyścimy,

glansujemy i składamy napowrót. Naturalnie prze-
ważnie zajmuje się tem ojciec.

Jadwiga. zwraca się do Gregora. Teraz może
pan zobaczyć dziką kaczkę.

Gregor. Już ją widzę. Lewe skrzydło ma
trochę obwisłe.

Hjalmar. Nic dziwnego, jest przecie postrzelona.

Gregor. A przytem, jak mi się zdaje, kuleje
trochę na lewą nogę, nieprawdaż?

Hjalmar. W każdym razie bardzo niewiele.

Jadwiga. Bo pies złapał ją właśnie za nogę.

Hjalmar. Ale zresztą nie ma żadnych wad
lub ułomności, co tem bardziej zadziwia, że do-
stała przecież cały ładunek śrutu i była już
w zębach psa.

Gregor spoglądając na Jadwigę. I tak długo
przebywała w głębiach jeziora.

Jadwiga uśmiechając się. Tak.

Gina porządkując na stole. Kochana dzika kaczką!
Jeszcze się w końcu zegnać przed nią będziecie.

Hjalmar. Czy wkrótce podadzą do stołu?

Gina. Zaraz. Jadwigo, chodź, pomóż mi.

Gina i *Jadwiga* wychodzą do kuchni.

Hjalmar półgłosem. Nie warto stać tutaj i przy-
patrywać się ojcu. On tego nie lubi. Gregor odcho-
dzi od zakąta poddasza.

Hjalmar. Najlepiej także będzie, jeżeli zamknę
drzwi, zanim się wszyscy zejda. Zagania ptactwo
rękami. Dalej, dalej, na swoje miejsca! Zapuszcza

zasłone i zasuwa drzwi. To wszystko ja sam wymyśliłem. To zawsze dość jest zabawnem doprowadzać do porządku rzeczy już zniszczone. A przytem było nawet potrzebnem: Gina nie lubi, gdy króliki lub kury łązić zaczynają po pracowni.

Gregor. Rzeczą prostą. Właściwie to twoja żona kieruje całym interesem.

Hjalmar. Zostawiłem jej ogólne, bierzące sprawy, w ten tylko bowiem sposób mogę nieraz schronić się do mego pokoju i myśleć nad rzeczami daleko większej wagi.

Gregor. Nad jakimi rzeczami, Hjalmarze?

Hjalmar. Dziwi mnie to, że przedtem jeszcze o to mnie nie zapytałeś. A może nie słyszałeś nic o wynalazku?

Gregor. O wynalazku? Nie, nie słyszałem.

Hjalmar. Tak, jeszcze nie? Prawda, tam w górach w lasach i pustkowiu...

Gregor. A więc ty zrobiłeś wynalazek?

Hjalmar. Jeszcze nie, ale mało co już brakuje. Możesz sobie wyobrazić, że postanawiając poświęcić się fotografii, nie uczyniłem przecież tego, aby wykonywać zwyczajne tylko podobizny i odbitki.

Gregor. Tak, żona twoja już o tem wspominała.

Hjalmar. Przysięgłem sobie, skoro konieczność mnie już zmusiła, bym siły swe temu rzemiosłu poświęcił, że podniosę je tak wysoko, aby się

stało sztuką i umiejętnością. Dlatego też postanowiłem dokonać doniosły wynalazek.

Gregor. I na czym on właściwie polega? Jaka jest jego osnowa?

Hjalmar. Widzisz mój drogi, nie mogę tak na razie udzielić ci wyjaśnień co do wszystkich szczegółów. Wymaga to czasu. Nie myśl tylko, że próżność jest mi jedynym bodźcem do pracy. Nie dla siebie ja chcę pracować. O nie, to wielkie zadanie życiowe dzień i noc stoi mi przed oczyma.

Gregor. Jakie zadanie życiowe?

Hjalmar. Zapominasz o starcu ze srebrnym włosem.

Gregor. O twoim biednym ojcu? Cóż jednak zrobić możesz dla niego?

Hjalmar. Mogę zbudzić jego samopoczucie wobec zmarłych, przywracając napowrót nazwisko Ekdalów do chwały i świetności.

Gregor. Więc to jest twojem życiowem zadaniem?

Hjalmar. Tak, pragnę ocalić rozbitka z katastrofy, jakiej uległ, gdy burza szaleć poczęła nad jego głową. Już podczas tych strasznych śledczych dochodzeń nie byłem panem siebie. Ten sam pistolet, ten sam, z którego teraz strzelamy do królików, odegrał rolę w tragedyi rodziny Ekdalów.

Gregor. Pistolet? Tak?

Hjalmar. Gdy wyrok zapadł i miano go zam-

knąć do więzienia, wtedy ujął on ten pistolet drżącą dłonią. —

Gregor. Naprawdę?

Hjalmar. Tak, ale nie miał odwagi. Stchórzył. Tak nisko upadł, tak moralnie zniszczonym był już wtedy. Czy jesteś w stanie to pojąć? On, żołnierz, on, który dziewięć niedźwiedzi zastrzelił, on, który pochodzi od dwóch pułkowników — naturalnie od jednego po drugim. — Czy pojmujesz to, Gregorze?

Gregor. O, pojmuję jak najlepiej.

Hjalmar. Ja zaś nie. A i po raz drugi odegrał ten pistolet rolę w historii rodziny Ekdałów. Kiedy włożono mu szare, więzienne ubranie i zamknięto i zatrzaśnięto za nim drzwi i zasunięto rygle, — o wtedy straszne były to dla mnie czasy, jak to sobie łatwo wyobrazić możesz. Wówczas w obydwóch moich oknach zapuściłem zasłony. Kiedy wyjrzałem poza nie, słońce świeciło jak zwykle. Nie mogłem tego pojąć. Widziałem, jak ludzie chodzili po ulicach, śmieli się i rozmawiali o codziennych, obojętnych sprawach, i nie mogłem tego pojąć. Zdawało mi się, że świat cały zatrzymać się powinien w swym biegu, jakby podczas zaćmienia słońca.

Gregor. Zupełnie to samo odczuwałem wtedy, gdy zmarła moja matka.

Hjalmar. W takiej chwili Hjalmar Ekdal wymierzył pistolet ku własnej piersi.

Gregor. Więc ty myślałeś także o tem, żeby się...

Hjalmar. Tak jest.

Gregor. Ale nie wystrzeliłeś?

Hjalmar. W stanowczej chwili odniosłem zwycięstwo nad sobą samym i pozostałem przy życiu. Ale możesz mi wierzyć, potrzeba było wielkiej na to odwagi, by wśród takich okoliczności wybrać — życie!

Gregor. Tak, to zależy od punktu widzenia.

Hjalmar. Nie, bezwarunkowo! I tak jak uczyniłem, było najlepiej, bo skoro tylko dokonam mego wynalazku — a doktor Relling tak samo sądzi jak i ja — ojciec będzie mógł otrzymać pozwolenie noszenia na nowo munduru. Tego będę żądał jako jedynej nagrody.

Gregor. A więc to o mundur idzie, który...

Hjalmar. Tak, za nim on tęskni i jego pragnie najbardziej. Nie wyobrażasz sobie jak mi się z tego powodu serce kraje. Zawsze ile razy obchodzimy małą rodzinną uroczystość, na przykład rocznicę mojego wesela z Giną albo coś podobnego, ten starzec wchodzi tutaj ubrany w uniform porucznika z dawnych dni szczęścia. Niech jednak ktokolwiek z korytarza do drzwi zapuka, — wiesz o tem, że mu w mundurze przed obcymi pokazywać się nie wolno, ucieka do swojej izby tak szybko, jak tylko stare nogi nastarczyć mogą. Synowi, który na to patrzy, rozdziera się serce.

Gregor. A kiedyż to mniej więcej masz nadzieję załatwienia się ze swoim wynalazkiem?

Hjalmar. Mój Boże, że też możesz mnie pytać o taki szczegół, jak czas. Wynalazek jest czemś takim, przy czem nie można być wcale panem samego siebie. Zależy to po większej części od inspiracyi, od usposobienia i po prostu nie można z góry obliczyć czasu, w którym to nastąpi.

Gregor. Ale przecież rzecz ciągle postępuje naprzód?

Hjalmar. Naturalnie że postępuje. Codziennie męczę się nad tym wynalazkiem, który zajmuje całą myśl moją. Każdego popołudnia, po obiedzie, zamykam się w mieszkaniu, ażeby w spokoju rozmyślać. Ale tylko nie trzeba mnie naglić, to się na nic nie przyda. Tak mówi także Relling.

Gregor. A czy nie znajdujesz, że te roboty tam na strychu odrywają cię i zanadto przeszkadzają skupieniu myśli?

Hjalmar. O nie, przeciwnie! Nie mów tego. Przecież nie mogę wiecznie i bez przestanku błąkać się, snując jedne i te same natężające myśli. Muszę mieć coś obok tego, aby wypełnić chwile odpoczynku. Inspiracya, natchnienie, wierz mi, jeżeli mają przyjść, przychodzą także pomimo tego wszystkiego.

Gregor. Mój drogi, doprawdy zdaje mi się, że masz w sobie coś z dzikiej kaczki.

Hjalmar. Z dzikiej kaczki? Jak to rozumiesz?

Gregor. Poszedłeś na dno i wgryzłeś się tam w porosty.

Hjalmar. Robisz aluzję do tego prawie śmiertelnego wystrzału, który mojego ojca ranił w skrzydła a i mnie także z nim razem?

Gregor. O nie, wcale nie do tego. Nie chcę mówić, że zostałeś raniony, ale że zabrnąłeś w trujące bagno! Jakaś trawiąca choroba zagnieżdżyła się w twoim organizmie i poszedłeś na dno, aby umierać w ciemnościach.

Hjalmar. Ja? Umierać w ciemnościach? Wiesz co, Gregor — lepiejbyś dał pokój takim figuram retorycznym.

Gregor. Ale bądź spokojny — będę się starał wyciągnąć cię na nowo. !Ja także ujrzałem teraz przed sobą zadanie życia; od wczoraj.

Hjalmar. Być może, być może. Ale mnie zostaw tylko w spokoju. Mogę cię zapewnić, że odliczywszy naturalnie moją łatwą do zrozumienia melancholią, mam się wogóle tak dobrze, jak tylko człowiek może tego pragnąć.

Gregor. To co mówisz, także pochodzi z zatrucia.

Hjalmar. Nie, nie, drogi, kochany Gregorze, nie mów mi tylko nie o chorobie i truciźnie; ja do takich rozmów zupełnie nie przywykłem. W moim domu nikt nigdy ze mną nie rozmawia o tak niemiłych rzeczach.

Gregor. To pojmuję aż nazbyt dobrze.

Hjalmar. Ja wogóle nie lubię takich rzeczy. Nie ma tu zresztą wcale bagnistego powietrza, jak się tobie podobało to określić. Gniazdo rodzinne biednego fotografa ma wprawdzie niski dach — wiem o tem dobrze, i środki moje są skromne, — ale jestem wynalazcą i przytem opiekunem rodziny. To mnie stawia ponad wszystkie małostki. — Ah, nareszcie przynoszą śniadanie.

Gina i Jadwiga przynoszą flaszkę piwa, flaszkę wódki, szklanki i inne naczynia. Równocześnie wchodzi Relling i Molvig drzwiami z korytarza; obaj bez kapeluszy i płaszców. Molvig jest ubrany czarno.

Gina kładzie naczynia na stole. No i tamci dwaj przychodzą w samą porę.

Relling. Molvig zwałchał sałatę ze śledzia i nie było sposobu powstrzymać go. Jeszcze raz dzień dobry, Ekdalu.

Hjalmar. Gregor, pozwól sobie przedstawić pana kandydata Molviga — pan doktor Relling, — zdaje mi się, że go już znasz?

Gregor. Tak, przelotnie.

Relling. A, wszak to młodszy pan Werle. Deptaliśmy już sobie po piętach w fabryce pańskiego ojca. Pan teraz tutaj się sprowadził?

Gregor. Dziś rano.

Relling. Tuż pod panem mieszka Molvig wraz ze mną, masz pan zatem niedaleko lekarza i kachnowdieję — w razie gdybyś pan kiedykolwiek ich zapragnął.

Gregor. Może się to zdarzyć. Wczoraj zasiadliśmy do stołu w trzynaście osób.

Hjalmar. Ach nie wracajże już do tych przykrych historyi.

Relling. Możesz zupełnie spokojnie słuchać tego, Ekdal. Ty na szczęście nie potrzebujesz się troszczyć o takie rzeczy.

Hjalmar. Zależy mi na tem ze względu na moją rodzinę. Ale czemuż my nie siadamy, — jedzmy, pijmy, radujmy się!

Gregor. Nie poczekamy na twego ojca?

Hjalmar. Nie, ojciec woli, żeby mu jego porcyę później przysłać. Siadajcież proszę.

Mężczyźni siadają przy stole, jedzą i piją. Gina i Jadwiga posługują.

Relling. Wie pani, pani Ekdal, wczoraj Molvig chorował na nogi.

Gina. Tak, wczoraj znowu?

Relling. Nie słyszała pani, jak wracałem z nim dziś w nocy do domu?

Gina. Nie, naprawdę nie słyszałam.

Relling. A to bardzo dobrze; bo dzisiaj w nocy Molvig był rzeczywiście obrzydliwy.

Gina. Prawda to, panie Molvig?

Molvig. Wymażmy z pamięci wypadki ubiegłej nocy. Takie rzeczy nie pozostają w związku z mojem lepszem „ja“.

Relling. do Gregora. To tak spada na niego jak natchnienie i ja muszę z nim razem iść na pijatykę; bo trzeba pani wiedzieć, że kandydat Molvig jest demoniczny.

Gregor. Demoniczny?

Relling. Molvig jest demoniczny, tak. —

Gregor. Hm..

Relling. | Demoniczne natury nie na to są stworzone aby na prostych nogach przez świat przechodzić; muszą koniecznie schodzić na bezdroża. A pan siedzisz ciągle w tej obrzydliwej, zadymnionej fabryce?

Gregor. Dotychczas siedziałem.

Relling. No — i zainkasowałeś pan te wierzytelności, z którymi się pan obnosisz?

Gregor. Wierzytelności? Zrozumiawszy. Ach, tak.

Hjalmar. Masz jakie wierzytelności do inkasowania, Gregor?

Gregor. Ach, głupstwo.

Relling. Ale ma, ma; chodził po wszystkich chałupach i przedstawiał coś, co nazywał „idealną wierzytelnością.“

Gregor. Byłem wtedy młody.

Relling. Masz pan słuszość: byłeś pan jeszcze bardzo młody. Dopóki ja tam mieszkalem, idealne wierzytelności nie były panu nigdy wypłacane.

Gregor. Później także nie.

Relling. No a zatem zapewne stałeś się pan na tyle przezornym, że opuszczasz pan już teraz cokolwiek z wysokości sum dłużnych.

Gregor. Nigdy — jeżeli tylko znajdę się przed rzeczywistym prawdziwym człowiekiem.

Hjalmar. Bardzo słusznie, bardzo słusznie Gino, dajno trochę masła.

Relling. I kawałek słoniny dla Molviga.

Molvig. Hu, nie chcę słoniny!

Ktoś puka do drzwi od tyłu.

Hjalmar. Otwórz, Jadwiniu. Ojciec chce wejść.

Jadwiga otwiera. Stary Ekdal ze świeżą skórą królika w ręku.

Jadwiga zamyka za nim drzwi.

Ekdal. Dzień dobry, moi panowie! Miałem dzisiaj wyborne polowanie. Ubiłem grubszą sztukę.

Hjalmar. I ojciec ściągnął skórę bezemnie!

Ekdal. Nasoliłem go nawet. Dobrze, kruche mięso mają króliki i do tego słodkie; zupełnie smak cukru. Smacznego, moi panowie!

Odechodzi do swego pokoju.

Molvig podnosi słę. Przepraszam, nie mogę — muszę w tej chwili zejść na dół. Wychodzi.

Relling wołając za nim. A pijże wodę sodową, człowieku. Do Hjalmara. No, kieliszek sznapsa na pomyślność starego strzelca.

Hjalmar trąca się z nim. Na pomyślność człowieka pełnego siły życiowej a stojącego jednak nad brzegiem grobu.

Relling. Za zdrowie je, sędziwej głowy. Pije. Czy twój ojciec jest właściwie szpakowaty, czy już siwy?

Hjalmar. Coś pośredniego między jednym a drugim. Zresztą wogóle włosów ma nie wiele.

Relling. No żyć można i z fałszywymi włosami. W gruncie rzeczy jednak ty jesteś szczę-

śliwym człowiekiem, Ekdalu. Masz piękny cel życia i możesz dążyć do jego spełnienia.

Hjalmar. Dążę też, możesz mi wierzyć.

Relling. Masz gospodarną i pracowitą żonę, która przemyka się cicho w filcowych pantoflach, czuwa nad tobą jak matka i troszczy się o wszystko.

Hjalmar. Tak, Gino. Pochyla ku niej głowę. Jesteś dobrą towarzyszką na drodze mego życia.

Gina. Ach, daj już pokój rezonowaniu o mnie. Lepiejbyś spokojnie siedział.

Relling. A potem twoja córka Jadwiga, Hjalmarze.

Hjalmar. O, tak — to dziecko droższe mi nad wszystko na świecie! Jadwiniu, chodź do mnie. Głaszcze jej głowę. Wiesz co to jutro za dzień?

Jadwiga. Ach, poco tatuś o tem mówi! Pociąga go za rękaw.

Hjalmar. Doznaję takiego uczucia, jakby mi kto nożem serce krajał, gdy pomyślę, że ci mogę ofiarować tylko tak mało, tylko to drobne urządzenie tam na strychu...

Jadwiga. Ach, kiedy to właśnie takie piękne.

Relling. Czekaj tylko, Jadwiniu, aż ojciec dokona tego wspaniałego wynalazku.

Hjalmar. Tak, zobaczysz. Jestem zdecydowany, córko moja, zabezpieczyć twą przyszłość. Do końca życia będziesz miała dostatek. Zażądam dla ciebie dobrobytu. To będzie jedyna nagroda biednego wynalazcy.

Jadwiga zarzuca mu ramiona na szyję i szepece.
O, dobry, kochany ojczulku!

Relling do Gregora. No i powiedz mi pan, czy to nie dobrze tak dla odmiany usiąść przy stole wśród koła szczęśliwej rodziny?

Hjalmar. O, tak, ja te godziny rzeczywiście wysoko cenię.

Gregor. Co do mnie, nigdy nie jest mi dobrze wśród bagnistego powietrza.

Relling. Bagnistego powietrza?

Hjalmar. Ach, nie wracaj już do tych niedorzeczności.

Gina. Ależ mój Boże, tu niema wcale bagnistego powietrza. Każdego dnia otwieram lufcik.

Gregor wstaje od stołu. Tego zaduchu, o którym ja myślę, nie zdołasz pani wywietrzyć.

Hjalmar. Zaduchu!

Gina. Hjalmarze, cóż ty na to?

Relling. Przepraszam — a może to pan właśnie ze swojej fabryki zaduch ten z sobą przyniosłeś?

Gregor. O, to na pana wygląda, nazywać zaduchem to, co ja z sobą do tego domu przynoszę.

Relling podchodzi do niego. Słuchajno pan, młody panie Werle, mam mocne podejrzenie, że pan ciągle jeszcze nosisz swoje „idealne wierzytelności“ w tylnej kieszeni...

Gregor. Noszę je we własnej piersi.

Relling. Do dyabła, gdziekolwiek je pan no-

słysz, nie radzę panu odgrywać tutaj roli inkasenta, dopóki ja tu jestem —

Gregor. A jeśli bym to pomimo tego uczynił?—

Relling. Wtedy zrzucę pana ze schodów, rozumiesz pan!

Hjalmar wstaje. Ależ, Relling!

Gregor. A więc wyrzucić mię pan...

Gina staje pomiędzy nimi. Tego pan nie śmie zrobić, panie Relling. Ale to panu tylko powiem, panie Werle, że pan, który tyle brudu i swędu narobiłeś u siebie w pokoju, nie powinienes przychodzić tu po to, żeby gadać o zaduchu — słysząc pukanie do drzwi od kurytarza.

Jadwiga. Mamo, ktoś puka.

Hjalmar. No, to już prawdziwe będzie u nas zbiegowisko!

Gina. Trzeba zobaczyć. Otwiera drzwi, staje w osłupieniu i cofając się woła. O Jezu!

Stary Werle wchodzi w futrzanym płaszczu.

Werle. Przepraszam, podobno tu mieszka mój syn?

Gina stłumionym głosem. Tak.

Hjalmar podchodzi. Proszę, niech pan raczy wejść, panie Werle.

Werle. Dziękuję — chciałbym rozmówić się tylko z moim synem.

Gregor. O co idzie? Oto jestem.

Werle. Chciałbym rozmówić się z tobą w twoim pokoju.

Gregor. W moim pokoju.. proszę. Zabiera się do wyjścia.

Gina. Ależ tam jest taki nieporządek, że —

Werle. A więc na kurytarzu. Pragnę rozmówić się z tobą w cztery oczy.

Hjalmar. To przecież i tu można, panie Werle. Przejdź do drugiego pokoju, Relling.

Hjalmar *Relling* wychodzą na prawo, *Gina* z *Jadwigą* do kuchni.

Gregor po krótkiej pauzie. A więc jesteśmy sami.

Werle. Wczoraj wieczorem powiedziałeś kilka niejasnych rzeczy. Ponieważ wprowadziłeś się do *Ekdalów*, domyślałam się zatem, że masz zamiar uczynić mi jakąś przykrość.

Gregor. Chcę *Hjalmarowi* *Ekdalowi* oczy otworzyć. Powinien poznać swoją pozycję taką jaką ona jest... oto wszystko.

Werle. Więc to jest owo zadanie życia, o którym wczoraj wspominałeś?

Gregor. Tak jest — nie pozostawiłeś mi żadnego innego.

Werle. Czy to ja może skrzywiłem twój umysł?

Gregor. Ty skrzywiłeś całe moje życie. Już nie mówię o tem, co zrobiłeś z moją matką, — ale tylko tobie mam do zawdzięczenia, że tu się błąkam dręczony wyrzutami sumienia.

Werle. A więc to z sumieniem swoim nie jesteś w porządku?

Gregor. Powinienem był wystąpić przeciw tobie wówczas, kiedy były zastawiane sidła na porucznika

Ekdała. Powinienem go był ostrzedz, bo prze-
czuwałem, do czego to doprowadzi.

Werle. Tak, istotnie wówczas powinienes był
mówić.

Gregor. Nie śmiałem — tak byłem tchórzliwy
i onieśmielony. Niewymowny lęk odczuwałem
przed tobą wówczas, — o jeszcze i potem długi czas.

Werle. Ten lęk, jak się zdaje, już przeminął.

Gregor. Na szczęście! Nigdy się już nie da
tego naprawić, co ja i — inni zawiniliśmy wobec
starego Ekdała. Ale Hjalmara mogę jeszcze oswo-
bodzić ze wszystkich tych kłamstw i tajemnic,
które prowadzą go do zguby.

Werle. I myślisz, że w ten sposób spełnisz
dobry uczynek?

Gregor. Wierzę w to mocno.

Werle. Więc ty myślisz, że fotograf Ekdał
jest człowiekiem tego rodzaju, że ci będzie
wdzięczny za taką usługę przyjaźni?

Gregor. Nie inaczej.

Werle. Ha, — zobaczymy.

Gregor. A nadto, jeśli mam dłużej żyć, muszę
znaleść jakikolwiek sposób ratunku dla mego cho-
rego sumienia.

Werle. Nie uratujesz go nigdy. Twoje sumienie
od dzieciństwa jest chorobliwe. Dziedzictwo po
matce, Gregor. Jedyne dziedzictwo, jakie ci
pozostawiła.

Gregor z szyderczym uśmiechem. Czy jeszcze nie

możesz zapomnieć tego, jak się przerachowałeś sądząc, że weźmiesz za nią posag?

Werle. Nie poruszaj spraw, które nie należą do rzeczy. — A więc nie zmieniasz postanowienia i chcesz koniecznie fotografa Ekdala naprowadzić na drogę, która ci się wydaje właściwą.

Gregor. Nie zmienię.

Werle. Powinienem był zatem oszczędzić sobie tej wizyty. Bo daremnie chyba pytałbym się ciebie, czy chcesz powrócić do mojego domu?

Gregor. Daremnie.

Werle. Dobrze więc. Zamierzam jednak zawrzeć nowe małżeństwo, trzeba będzie zatem przystąpić do podziału masy spadkowej.

Gregor prędko. Nie, tego nie chcę.

Werle. Jakto nie chcesz?

Gregor. Nie, — nie mogę, sumienie na to mi nie pozwala.

Werle. Powrócisz zatem do fabryki?

Gregor. Nie, uważam się za uwolnionego z twojej służby.

Werle. Czemże się więc zajmiesz?

Gregor. Rozwiązaniem zadania mego życia, niczem więcej.

Werle. No — a potem? Z czego chcesz żyć?

Gregor. Wystarczy na przeżycie mego czasu.

Werle. Co chcesz przez to powiedzieć?

Gregor. Na nic więcej teraz nie będę już odpowiadał.

Werle. A więc żegnam cię, Gregor.

Gregor. Żegnam. Werle wychodzi.

Hjalmar wygląda przez drzwi. Poszedł już?

Gregor Poszedł.

Hjalmar i *Relling* wychodzą z pokoju; *Gina* i *Jadwiga* z kuchni.

Relling. Sniadanie na nic.

Gregor. Ubierz się, *Hjalmarze*, musisz ze mną odbyć dłuższą przechadzkę.

Hjalmar. Bardzo chętnie! Czego chciał twój ojciec? Czy to szło o mnie?

Gregor. Chodź, porozmawiamy ze sobą. Zajdę tylko po płaszcz do mego mieszkania. Wychodzi przez drzwi od kurytarza.

Gina. Po co ty masz znowu z nim wychodzić, *Hjalmarze*?

Relling. Naprawdę, daj temu pokój, zostań!

Hjalmar bierze kapelusz i płaszcz. Ale cóż znowu! Przyjaciel z lat dziecińczy chce mi w samotności serce swoje otworzyć.

Relling. Eh, do dyabła, czy nie widzisz, że ten człowiek ma zupełnie przywróconą i obłąkaną głowę? —

Gina. A widzisz — jego matka miała też takie napady.

Hjalmar. Tem bardziej potrzeba mu czujnego oka przyjaciela. Do *Giny*. Niech tylko obiad będzie na czas. Do widzenia. Wychodzi drzwiami od kurytarza.

Relling. To doprawdy nieszczęście, że tego człowieka dyabli nie wzięli w fabryce.

Gina. O, Jezu, — a skądże to znowu przyszło panu do głowy?

Relling mruczy. Tak zdaje mi się, że się czegoś domyślałam.

Gina. Myśli pan, że młody Werle na prawdę jest waryatem?

Relling. Niestety nie, nie jest większym waryatem niż inni. Ale niezawodnie jest chory.

Gina. A cóż mu jest?

Relling. Widzi pani, on cierpi na ostrą gorączkę prawości.

Gina. Gorączkę prawości?

Relling. Tak — to jest taka narodowa choroba, ale występuje ona tylko sporadycznie. Kłania się. Dziękuję. Dowidzenia. Wychodzi.

Gina chodzi po pokoju. Ah, ten Gregor Hjalmar zawsze był jakąś złą wróżbą.

Jadwig stoi przy stole i patrzy na matkę badawczo. Jak mi się to wydaje dziwne!

Akt IV.

Atelier Hjalmara Ekdala.

Przed chwilą robiono zdjęcie. Aparat z zielonym suknem, piedestał, kilka stołków, stół pilastrowy stoją na przodzie sceny. Oświetlenie popołudniowe. Słońce zachodzi; nieco później zaczyna się ściemniać.

Gina stoi w otwartych drzwiach kurytarza z puszką i płytą szklaną w ręce i rozmawia z kimś. Najniezawodniej. Już jak ja co obiecuję, to dotrzymam. Na poniedziałek będzie pierwszy tuzin. Do widzenia, do widzenia państwu.

Słychać jak ktoś schodzi ze schodów. *Gina* zamyka drzwi, kładzie płytę w puszkę i stawia ją w zakryty aparat.

Jadwiga wychodzi z kuchni. Dopiero teraz poszli?

Gina porządkuje. Dzięki Bogu, że się ich nareszcie pozbyłam.

Jadwiga. Ale co to znaczy, że ojciec do tego czasu nie wraca?

Gina. Może siedzi na dole u Rellinga.

Jadwiga. Nie, tam go niema. Zbiegłam tylnymi schodami i pytałam się.

Gina. A obiad dla niego stoi i ziębnie.

Jadwiga. A przecież ojciec zawsze tak pilnie uważa, żeby przyjść do domu na obiad.

Gina. Zobaczno, zdaje mi się, że idzie.

Jadwiga. Ach, żeby to on był. Wszystko mi się teraz wydaje takie dziwne!

Gina woła. Idzie nareszcie.

Wchodzi Hjalmar Ekdal.

Jadwiga biegnie ku niemu. Ojczulku! Cośmy się na ojczulka naczekały!

Gina spogląda na niego ukradkiem. Ależ zasiedziałeś się, *Hjalmarze*.

Hjalmar. Tak trochę długo, prawda. Zdejmuje płaszczy, *Gina* i *Jadwiga* chcą mu pomóc, on się jednak wzdryga.

Gina. Może wstąpiliście gdzie z *Werlem* na przekąskę?

Hjalmar zawiesza płaszczy. Nie.

Gina idzie do drzwi kuchennych. To ci zaraz obiad przyniosę.

Hjalmar. Nie, daj mi pokój z obiadem, nie będę teraz nie jadł.

Jadwiga podchodzi bliżej. Tatusiowi może nie dobrze?

Hjalmar. Nie dobrze? O tak, nieszczególnie. Zrobiliśmy męczącą przechadzkę z *Gregorem*.

Gina. Nie powinienesz być męczyć się, *Hjalmarze*, nie jesteś do tego przyzwyczajony.

Hjalmar. Hm — jest wiele rzeczy na świecie, do których mężczyzna przyzwyczaić się musi. Wzbudzony przechadza się kilkakrotnie po scenie. Czy tu był kto przez ten czas?

Gina. Nikt — oprócz tych narzeczonych.

Hjalmar. Ani jednego nowego zamówienia.

Gina. Nie, dzisiaj nie.

Jadwiga. Zobaczysz, tatusiu, że jutro ktoś przyjdzie.

Hjalmar. Żeby tak było — bo od jutra zabieram się do pracy zupełnie na seryo.

Jadwiga. Od jutra? To już tatuś nie myśli o tem, co to jutro za dzień.

Hjalmar. Ah, prawda! A więc pojutrze! Od tej chwili wszystko sam chcę robić, chcę zupełnie sam zajmować się całą pracą.

Gina. Ale na cóż to, Hjalmarze! Zatrujesz sobie tylko życie. Już ja się będę troszczyć o zakład, a ty zajmiesz się swoim wynalazkiem.

Jadwiga. I dziką kaczką, tatusiu i kurami i królikami i —

Hjalmar. Nie gadaj mi o tych głupstwach! Od jutra moja noga nie postanie na tym strychu.

Jadwiga. Ależ tatusiu, przecież przyrzekłeś, że ma tam być mała uroczystość.

Hjalmar. Hm, to prawda. A więc od pojutrze. Tej przekłêtej dzikiej kaczcze najchętniej bym łeb ukręcił.

Jadwiga krzyczy. Dzikiej kaczcze!

Gina. No czegoś podobnego tom jeszcze nie słyszała.

Jadwiga pociąga go za rękę. Ależ tatusiu, to przecie moja dzika kaczka.

Hjalmar. Więc też tego nie zrobię. Nie mam serca tego uczynić, nie mam serca ze względu na ciebie, Jadwiniu. Ale czuję w głębi duszy, że powinienem to zrobić. Nie powinienem cierpieć

pod moim dachem stworzenia, które było w tych rękach.

Gina. Ależ mój Boże, dlatego, że dziadek dostał ją od tego łajdaka Pettersena. —

Hjalmar prawie biegając po scenie. Są pewne wierzytelności, — jakże ja ci je nazwę? Powiedzmy — idealne wierzytelności, których człowiek nie może zaniedbywać, nie ponosząc szkody na własnej duszy.

Jadwiga idąc za ojcem. Ależ tatusiu, dzika kaczką — biedna dzika kaczką.

Hjalmar zatrzymując się. Słyszysz, oszczędzę ją ze względu na ciebie. Włos jej nie spadnie z gło... no, jak powiedziałem, oszczędzę ją. Są większe niż te zadania do spełnienia. Ale ty, Jadwiniu, powinnaś iść na spacer jak zwykle; już jest dość szaro dla twoich oczu.

Jadwiga. E, co mi tam teraz z tego. —

Hjalmar. O patrzaj, tak mrużysz oczyma — tutaj wszystkie te dymy szkodzą ci. Przykre powietrze jest pod tym dachem.

Jadwiga. Dobrze, zbiegnę tylnymi schodami i przez chwilę będę na spacerze. Gdzie płaszczyk i kapelusz? Aha, są tam u mnie. Tatusiu, ale ty dzikiej kaczkę nic złego nie zrobisz, jak mnie nie będzie?

Hjalmar. Ani jedno pióro nie będzie wyrwane z jej głowy. Przytula ją do siebie. Ty i ja, Jadwiniu, my oboje! A teraz idź!

Jadwiga kłania się rodzicom i wychodzi przez drzwi kurytarza.

Hjalmar chodzi wielkimi krokami nie patrząc na Ginę Gina!

Gina. Co?

Hjalmar. Od jutra, albo powiedzmy — od pojutrze chcę książkę wydatków sam prowadzić.

Gina. Jakto? Chcesz także prowadzić książkę wydatków!

Hjalmar. Chcę w każdym razie być w możności kontrolowania dochodów.

Gina. Mój Boże, to przecież możesz zawsze robić.

Hjalmar. Nie wierzę temu. Znajduję mianowicie, że pieniądze, które dostajesz, wystarczają ci dziwnie długo. Staje i patrzy na nią badawczo. Jakim sposobem się to dzieje?

Gina. Dlatego, że Jadwiga i ja potrzebujemy tak mało.

Hjalmar. Czy to prawda, że ojciec za pisemne prace u fabrykanta Werlego jest wynagradzany tak hojnie?

Gina. A czy ja tam wiem, czy to hojna nagroda, czy nie. Nie znam się na tem, co taka praca może być warta.

Hjalmar. Więc ile dostaje mniej więcej? Niechże wiem!

Hjalmar. A więc on dostaje wszystko od Werlego?

Gina. A cóż do tego ma Werle?

Hjalmar. Zapal lampę!

Gina zapala. Skądże my możemy wiedzieć, od kogo on dostaje? Tak samo dostawać może od Werlego jak i od Groberga.

Hjalmar. I pocóż ta wymówka z Grobergiem?

Gina. Ja nie wiem, ja myślałam tylko.

Hjalmar. Hm!

Gina. Przecież ja się nie starałam o pracę dla dziadka. Starała się Berta Sörby, jak nastąpiła w tym domu.

Hjalmar. Zdaje mi się, że twój głos drży. —

Gina osłaniając lampę abażurem. E, cóż znowu!

Hjalmar. I twoje ręce drżą. Może także nie?

Gina z rezygnacją silnie. Powiedz lepiej odrazu, Hjalmarze, co on na mnie nagadał?

Hjalmar. Czy to prawda — czy to może być prawda — żeby pomiędzy tobą a przemysłowcem Werlem istniał rodzaj stosunku wówczas, kiedy w domu służyłaś.

Gina. To nieprawda. — Wtedy nie. — Werle zalecał się do mnie, — tak, temu nie będę zaprzeczała — a żona jego myślała, że coś było w tem więcej i stąd cały ten hokuspokus i skandal. Biła mnie i wymyślała, gdzie tylko mogła, i dlatego rzuciłam służbę.

Hjalmar. A więc potem — ?

Gina. Tak, wróciłam do domu. — A matka, — ona nie była taka rzetelna, Hjalmarze, jak ty myślałeś, — mówiła mi to i owo, bo wtedy fabrykant Werle był już wdowcem.

Hjalmar. Dalej, dalej.

Gina. Najlepiej, jak się dowiesz o wszystkim. Nie ustąpił dopóki zrobił, co chciał.

Hjalmar uderza rękami w głowę. I ona jest matką mojego dziecięcia! Jak ty mogłaś kryć to przedemną!

Gina. Źle zrobiłam — powinnam była powiedzieć ci to już dawno.

Hjalmar. Natychmiast powinnaś mi była to powiedzieć! Byłbym przynajmniej wiedział, czym ty byłaś. —

Gina. A byłbyś się był zemną ożenił?

Hjalmar. Jak możesz nawet przypuszczać coś podobnego?

Gina. Widzisz, właśnie dlatego nie mogłam ci wtedy nic powiedzieć. Wiesz, jak mi wtedy ogromnie na tobie zależało. Jakże mogłam sama siebie robić nieszczęśliwą!

Hjalmar chodząc po pokoju. I ona jest matką mojej Jadwigi! I wiedzieć, że wszystko, co jest przed moimi oczami kopie stołek nogą — całe moje gniazdo rodzinne zawdzięczam uprzywilejowanemu poprzednikowi! O ten uwodziciel Werle!

Gina. Żałujesz tych czternastu czy piętnastu lat, któreśmy razem ze sobą przeżyli?

Hjalmar staje przed nią. Powiedz mi, czy ty, każdego dnia, każdej godziny nie żałowałaś tej kłamliwej przedzy zatajenia, w którą umotałaś mnie jak pajak! Odpowiadaj na to pytanie! Czy

rzeczywiście nie czułaś żalu, zgryzot sumienia?

Gina. Mój Hjalmarze — albo to ja mało miałam roboty i frasunku ze sprawami domowymi i codzienną pracą. —

Hjalmar. Nigdy więc nie rzucałaś badawczego wzroku natwoją przeszłość?

Gina. Nie — Bóg widzi, że o tych starych intrygach prawie zapomniałam.

Hjalmar. O ten stępiony, beczuciowy spokój — on mnie bardziej jeszcze drażni! Pomyśl tylko, ani nawet żalu!

Gina. Ależ zastanów się, Hjalmarze, co by się z tobą stało, gdybyś nie dostał takiej żony, jak ja.

Hjalmar. Takiej, jak ty!

Gina. A tak — bo ja przecież zawsze byłam stateczniejsza i oszczędniejsza od ciebie. No, to się rozumie samo przez się — jestem przecie parę lat starsza.

Hjalmar. Co by się zemną stało?

Gina. Byłeś wtedy na dosyć złej drodze, kiedy mnie poznałeś, temu nie możesz zaprzeczyć!

Hjalmar. Tak, więc ty to nazywasz złą drogą! O nie rozumiesz usposobienia człowieka, który nosi żalobę w sercu i rozpacza — zwłaszcza człowieka z moim płomiennym umysłem.

Gina. To być może. Więc ja już co do tego nic nie mówię — byłeś tak dobrym i serdecznym mężem, jak tylko doszedłeś do własnego gniazda — a potem mieliśmy w domu tak miło

i wygodnie. My z Jadwigą chcielibyśmy już niezadługo zacząć trochę więcej wydawać na jeźdzenie i ubranie.

Hjalmar. Tak — w tem bagnisku zatajania.

Gina. Ach, że też ten obrzydliwy człowiek dostał się do tego domu!

Hjalmar. I mnie wydawało się dobrze w naszym gnieździe. Ale tu był błąd. Skąd teraz wezmę siły, energii, aby wynalazek mój wprowadzić w świat rzeczywistości. Ten wynalazek umrze może wraz ze mną. Wiedz w takim razie, Gino, że zamordowała go twoja przeszłość!

Gina prawie z płaczem. Nie, nie mów tak, Hjalmarze. Ja przez całe życie starałam się tylko o to, ażeby tobie było jak najlepiej.

Hjalmar. I co się teraz stanie z moimi marzeniami o poświęceniu się rodziny? Wówczas gdy tam leżałem na sofie i myślałem o moim wynalazku, czułem już, że on pochłonie resztki moich sił żywotnych. Czułem, że dzień, w którym patent w moje ręce dostanę, że ten dzień — powiadam — będzie moim dniem pożegnania. I marzyłem wówczas, że zostawię ciebie majątną wdową zmarłego wynalazcy.

Gina osusza łzy. Nie mów tak, Hjalmarze. Pan Bóg nie da mi dożyć dnia, w którym zostanę wdową.

Hjalmar. Ach jedno jak i drugie, wszystko już teraz przeszło!

Gregor Werle otwiera ostrożnie drzwi od kurytarza i staje na progu.

Gregor. Mogę wejść?

Hjalmar. Wejdz. —

Gregor wchodzi z promieniejącą, zadowolnioną twarzą i chce im podać ręce. A więc, moi kochani — patrzy to na *Hjalmar*a, to na *Ginę* i mówi po cichu do *Hjalmar*a. Więc się jeszcze nie stało?

Hjalmar głośno. Już się stało.

Gina. Stało się?

Hjalmar. Przeżyłem chwilę najbardziej pełną goryczy w mem życiu...

Gregor Ale zdaje mi się, że najbardziej podniosłą.

Hjalmar. Na razie mamy ją już w każdym razie po za sobą.

Gina. Niech Pan Bóg tego panu nie pamięta, panie Werle.

Gregor bardzo zdziwiony. Ależ nie pojmuję...

Hjalmar. Czego nie pojmujesz?

Gregor. Podobnie wielki obrachunek — obrachunek, na którym ma być oparta cała droga nowego życia, pożycie wzajemne wśród prawdy i bez żadnej tajemnicy. —

Hjalmar. Tak — wiem już — wiem już dobrze. —

Gregor. Byłem jak najpewniejszy, że kiedy stanę u drzwi, jasny promień wytryśnie ku mnie z oblicza męża i żony. A tymczasem nie widzę nic jak tylko ponurość, ciężkość, smutek. —

Gina. Może. — zdejmuje abażur.

Gregor. Niechcesz mnie pani zrozumieć, pani Ekdal. Pani zresztą potrzebuje jeszcze pewnego

czasu. Ale ty, Hjalmarze! Przecież wyższe błogosławieństwo musiało spłynąć na ciebie z tego obrachunku.

Hjalmar. Tak, naturalnie, — to jest — tak w swoim rodzaju.

Gregor. Przebaczycie tej, która zbłądziła i przez miłość podnieść ją ku sobie, czyż jest co na świecie, coby z tem porównać się dało?

Hjalmar. Czy myślisz, że mężczyzna może tak łatwo przełknąć ten kielich goryczy, który ja właśnie wypróbniałem?

Gregor. Zwyczajny mężczyzna, zapewne nie, ale człowiek taki jak ty...

Hjalmar. Ach, drogi Boże, wiem już. Ale nie powinienem mnie tak naglić, Gregorze. Widzisz, na to potrzeba czasu.

Gregor. Ty masz w sobie dużo z dzikiej kaczki, Hjalmarze.

Relling wchodzi. No patrzcie, znowu o dzikiej kaczce mowa?

Hjalmar. Tak jest, o postrzelonym łupie fabrykanta Werlego.

Relling. Fabrykanta Werlego? O nim mówicie?

Hjalmar. O nim i o nas wszystkich.

Relling półgłosem do Gregora. A niech pana czarci porwą!

Hjalmar. Co mówisz?

Relling. Wyraziłem tylko gorące i serdeczne życzenie, aby ten szarlatan poszedł sobie

w swoją drogę. Jeśli tu pozostanie, potrafi zgubić was oboje.

Gregor. Tak się nie stanie, panie Relling. O Hjalmarze już wcale nie mówię. Znamy go obaj. Ale i ona także ma nie zawodnie pewny i prawy grunt charakteru.

Gina płaczliwie. Zostawiłbyś mię pan lepiej tem, czem byłam.

Relling do Gregora. Czy to nie będzie rzeczą zbyt zuchwałą, zapytać pana, czego właściwie chcesz w tym domu?

Gregor. Chcę stworzyć grunt dla prawdziwego małżeństwa.

Relling. Znajdujesz pan zatem, że małżeństwo Ekdala takie jak jest, nie jest dość dobre.

Gregor. Niezawodnie jest to tak samo dobre małżeństwo, jak niestety tyle innych. Ale prawdziwem jeszcze się nie stało.

Hjalmar. Ty nigdy nie mogłeś pojąć, Relling, co to jest idealna wierzytelność.—

Relling. Głupia rzecz, mój drogi. Za pozwoleniem, panie Werle, ile też tak mniej więcej prawdziwych małżeństw znałeś już pan w swemżyciu?

Gregor. Zdaje mi się, że ani jednego.

Relling. Ja także ani jednego.

Gregor. Ale ja znam za to niezliczoną ilość małżeństw odwrotnego rodzaju i miałem sposobność obserwować zblizka, jakie spustoszenie zrządzić może takie małżeństwo u dwojga ludzi.

Hjalmar. Całe moralne oparcie człowieka za-
paść się może pod jego nogami; to właśnie jest
straszne.

Relling. Właściwie nigdy nie byłem żonaty
i nie mogę o tych rzeczach sądzić. Ale jedno
wiem przecież, że do małżeństwa należy także
i dziecko. I to dziecko powinniście pozostawić
w spokoju.

Hjalmar. Ach, Jadwiga, biedna moja Jadwiga!

Relling. Tak jest, Jadwigę powinniście od
tego wszystkiego trzymać z daleka. Wy oboje
jesteście ludzie dorośli. Możecie w imię Boże
sprzeczać się i z waszym wzajemnym stosunkiem
robić eksperymenta, do jakich macie tylko ochotę.
Ale z nią musicie obchodzić się ostrożnie, po-
wiadam wam, inaczej bowiem moglibyście ją unie-
szczęśliwić.

Hjalmar. Unieszczęśliwić!

Relling. Tak, albo ona sama mogłaby się
unieszczęśliwić, a może i innych zarazem. —

Gina. Ale skąd pan możesz o tem wiedzieć,
panie Relling?

Hjalmar. Ale to chyba nie jej oczom grozi
niebezpieczeństwo?

Relling. Z oczami nie ma to nic wspólnego.
Ale Jadwiga jest w niebezpiecznym wieku. Byle
jaka rzecz nierozsądna może jej wpaść do głowy.

Gina. Patrz pan — jej już takie rzeczy przy-
chodzą do głowy. Zaczyna teraz w kuchni okro-

pnie przewracać w ogniu i mówi, że się bawi w iskierki. Boję się, żeby kiedy całego domu nie spaliła.

Relling. Widzi pani, ja to wiedziałem.

Gregor do *Rellinga*. Ale jak pan to tłumaczysz?

Relling opryskliwie. Przebywa mutacyę głosu, mój dobry panie.

Hjalmar. Dopóki dziecko mnie posiada! — Dopóki moja głowa wznosi się do góry — słysząc pukanie do drzwi.

Gina. Cicho, *Hjalmarze*. Ktoś tam jest w przedpokoju. Woła. Proszę!

Pani Sörby w ubraniu spacerowem wchodzi drzwiami z kurtyarza.

Pani Sörby. Dobry wieczór!

Gina idzie ku niej, A to ty, *Berto*!

Pani Sörby. Ja, moja droga. Ale może przychodzę nie w porę?

Hjalmar. Broń Boże! Wysłaniec z tego domu...

Pani Sörby. Prawdę mówiąc nie spodziewałam się, żeby twoi panowie w tych godzinach byli w domu. Chciałam z tego skorzystać i przybiegłam, aby pogawędzić z tobą trochę i pożegnać się.

Gina. Jako wyjeżdżasz?

Pani Sörby. Tak, jutro rano. Do fabryki, w góry. Pan *Werle* wyjechał dziś po południu, do *Gregora* kazał pana serdecznie pożegnać.

Gina. Aj — doprawdy?

Hjalmar. Więc fabrykant *Werle* odjechał? A pani jedzie za nim?

Pani Sörby. No i co pan na to mówi, panie Ekdal?

Hjalmar. Mówię: strzeż się pani.

Gregor. Ja ci to wyjaśnię. Mój ojciec żeni się z panią Sörby.

Hjalmar. Żeni się z nią!

Gina. Ach, moja Berto! A więc nakoniec!

Relling drżącym głosem. Ależ to chyba nieprawda?

Pani Sörby. Nie, kochany panie Relling, to rzeczywista prawda.

Relling. Pani chcesz wyjść teraz za mąż?

Pani Sörby. Nie inaczej. Werle dostał już pozwolenie na małżeństwo a wesele odbędzie się cichutko w fabryce.

Gregor. Jako pasierb życzyć pani mogę szczęścia.

Pani Sörby. Dziękuję panu, jeżeli pan to szczerze mówi. Mam nadzieję, że zarówno dla pana Werlego jak i dla mnie będzie to prawdziwe szczęście.

Relling. O! tego może się pani ze spokojem spodziewać. Przemysłowiec Werle nie upija się nigdy, o ile ja wiem; nie ma także zwyczaju znieważać czynnie swych żon, jak to czynił nieboszczyk konował.

Pani Sörby. Ach, zostaw pan tego biednego Sörby w spokoju. Miał on także swoje dobre strony.

Relling. Ale przemysłowiec Werle ma zapewne lepsze strony, nieprawdaż?

Pani Sörby. Nie zmarnotrawił przynajmniej tego, co w nim jest najlepsze. Człowiek, który to czyni, musi także i skutki ponosić.

Relling. Dziś wieczorem wychodzę z Molvigiem na miasto.

Pani Sörby. Nie czyń pan tego, panie Relling. Zrób pan to dla mnie.

Relling. Nie da się już inaczej zrobić. Do Hjalmara. Chcesz iść ze mną, to chodź.

Gina. Uprzejmie dziękuję. Hjalmar nie chodzi na takie pijatyki.

Hjalmar z gniewem, półgłosem. Milczeć raz!

Relling. Dowidzenia, panie — Werle. wychodzi.

Gregor do pani Sörby. Zdaje mi się, że pani dość dobrze zna się z doktorem Rellingiem.

Pani Sörby. O, znamy się już od wielu lat. O mało co nie przyszło między nami do czegoś poważniejszego.

Gregor. Szczęście dla pani, że do tego nie przyszło.

Pani Sörby. Masz pan słuszość. Ale ja zawsze pilnowałam się, żeby w życiu nie kierować się tylko wrażeniami, kobiety nie powinny się oddawać całkowicie wrażeniom.

Gregor. Nie lęka się pani, żebym ja nie udzielił ojcowi informacji o tej dawnej znajomości?

Pani Sörby. Możesz się pan łatwo domysleć, że nie omieszkalam sama opowiedzieć mu wszystko.

Gregor. Doprawdy?

Pani Sörby. Pański ojciec zna każdy najdrobniejszy szczegół mego życia, o którym ludzie mogliby mówić z jakąkolwiek odrobiną słuszności. Powiedziałam mu wszystko natychmiast, skoro tylko zrozumiałam jego zamiary.

Gregor. Byłaś zatem pani bardziej otwarta niż się to zwykle dzieje.

Pani Sörby. Ja jestem zawsze otwartą. My kobiety otwartością dokazać możemy bardzo dużo.

Hjalmar. I cóż ty na to mówisz, Gino?

Gina. E, kobiety są tak rozmaite. Niektóre postępują tak, inne inaczej.

Pani Sörby. Tak, Gino, ja jednak sędzę, że najrozsądniej jest postępować według mego sposobu. I Werle także z tego, co jego dotyczyło, nie czynił wcale tajemnicy. I to właśnie nas najbardziej z sobą związało. Może sobie teraz rozmawiać ze mną tak otwarcie jak dziecko. Dawniej nigdy mu się nie zdarzyła taka sposobność. Taki człowiek jak on, zdrowy, pełen życia, przez całą młodość i przez wszystkie najlepsze lata słuchać tylko musiał moralnych kazania. A nieraz te kazania odnosiły się tylko do czysto urojonych przewinień — o ile ja wiem o tem.

Gina. O tak, to prawda.

Gregor. Jeśli panie nie porzucą tego tematu rozmowy, najlepiej będzie, jeśli stąd odejdę.

Pani Sörby. O może pan zostać spokojnie. Nie powiem już ani słowa. Chciałam tylko obja-

ścić pana, że postępowałam bez żadnych tajemnic i bez wszelkiego rodzaju podstępu. Mogłoby się zdawać, że spotyka mię niezwykle szczęście, i tak też jest pod pewnym względem. Ale zdaje mi się, że wcale nie więcej otrzymam nadto, co sama daję. Nie porzucę go z pewnością nigdy — będę mu służyć jak nikt drugi, zwłaszcza teraz, kiedy będzie potrzebował takiej opieki i tyle pomocy.

Hjalmar. Jakto opieki i pomocy?

Gregor do pani Sörby. Nie wspominaj tu pani o tem. —

Pani Sörby. To się dłużej ukryć nie da, choćby on sam nie wiem jak tego pragnął. Werle traci wzrok.

Hjalmar z osłupieniem. Traci wzrok! To szczególne. Ona także traci wzrok.

Gina. Ach, tylu ludzi traci wzrok. —

Pani Sörby. A nie macie państwo wyobrażenia, co to za cios dla przemysłowca. Będę się starała oddać mu według możliwości moje oczy do użytku. No — ale jestem tak bardzo zajęta, że ani chwili dłużej pozostać tu nie mogę. Aha, jeszcze jedno Panu, panie Ekdal, mam jeszcze powiedzieć, że jeśliby Werle mógł panu w czemkolwiek służyć, możesz się pan z tem zwrócić do Groberga.

Gregor. Hjalmar Ekdal niezawodnie podziękuje za tę ofiarę.

Pani Sörby. Czyżby? Wszakże przedtem...

Gina. Tak, Berto, Hjalmar nie potrzebuje już nic od przemysłowca Werlego.

Hjalmar powoli i z naciskiem. Zechciej pani swemu przyszłemu małżonkowi wyrazić moje ukłony i powiedzieć mu, że zamierzałem właśnie w najbliższym czasie udać się do buchaltera Groberga.

Gregor. Jakto, chciałbyś—?

Hjalmar. Udać się do buchaltera Groberga, powtarzam, i zażądać wyciągu z konta na sumę, jaką winien jestem jego pryncypałowi. Chcę spłacić ten dług honorowy — ha, ha, ha, doprawdy dług honorowy. Lecz dosyć o tem. Chcę wszystko spłacić z doliczeniem piątego procentu.

Gina. Ależ Hjalmarze, skąd my na to weźmiemy pieniędzy?

Hjalmar. Zechciej pani powiedzieć swemu narzeczonemu, że bez przerwy pracuję nad moim wynalazkiem. Zechciej mu pani dalej powiedzieć, że siłę mego umysłu wśród tego natężającego zatrudnienia utrzymuje jedynie życzenie, aby się uwolnić od przykrych zobowiązań. Na to jest przeznaczony mój wynalazek. Wszystko, co mi przyniesie, zużyte będzie na to, aby się wyswobodzić od pieniężnych zobowiązań wobec przyszłego małżonka pani.

Pani Sörby. Ależ tutaj coś zająć musiało.—

Hjalmar. Tak, pani, tutaj coś zaszło. —

Pani Sörby. A więc sędzę, że jestem tu zby-

teczna. Mam jeszcze z tobą do pomówienia, Gino, ale to już innym razem. Adieu! Hjalmar i Gregor składają niemy ukłon. Gina odprowadza panią Sörby do drzwi.

Hjalmar. Nie wychodź za próg, Gino!

Pani Sörby odchodzi; Gina zamyka za nią drzwi.

Hjalmar. Widzisz, Gregor — w ten sposób uwolniłbym się od tego gniotącego ciężaru.

Gregor. Tak — to w każdym razie prędko.

Hjalmar. Zdaje mi się, że moje postępowanie każdy musi nazwać poprawnem.

Gregor. Jesteś człowiekiem, za takiego cię zawsze miałem.

Hjalmar. W pewnych wypadkach nie podobna odsuwać na bok idealnych wierzytelności jakie się ma do spłacenia. Jako poświęcający się dla rodziny muszę z boleścią ugiąć się pod tym ciężarem. Bo doprawdy to nie bagatela dla człowieka niezamożnego spłacić wierzytelności z wielu lat, na których, że się tak wyrażę, leżał już pył zapomnienia. To nie jest jednak wszystko jedno. Natura ludzka we mnie upomina się także o swoje prawa.

Gregor kładzie ręce na jego ramionach. Drogi Hjalmarze, a więc czyż to nie było dobrze, że ja tu przyszedłem!

Hjalmar. Tak — było dobrze!

Gregor. Czy to nie było dobrze, że pełna prawda rozświeciła wszystkie stosunki?

Hjalmar nieco niecierpliwie. Tak, niezawodnie. Ale pozostaje jeszcze jedna rzecz, która oburza mój zmysł sprawiedliwości.

 *Gregor.* O cóż idzie?

 *Hjalmar.* O to, że—; ale ja nie wiem, czy mogę tak bezwzględnie mówić o twoim ojcu.

Gregor. O, — mną nie krępuj się zupełnie.

Hjalmar. Więc dobrze. Widzisz, jest coś przykrego w tej myśli, że to nie ja, lecz on urzeczywistnia ideę prawdziwego małżeństwa.

Gregor. Ależ, jak możesz mówić coś podobnego!

Hjalmar. A jednak tak jest. Twój ojciec i pani Sörby zawierają małżeństwo oparte na zupełnem zaufaniu, oparte na pełnej i całkowitej otwartości z obu stron; nie ukrywają przed sobą nic; niema tajemnicy w ich stosunku; jest pomiędzy nimi, jeśli się tak mogę wyrazić, wzajemne przebaczenie grzechów.

Gregor. I cóż stąd?

Hjalmar. A więc wszystko tem samem dobrze się składa. Podobne warunki składają się jak sam powiadasz, na to aby stworzyć prawdziwe małżeństwo.

Gregor. To zupełnie co innego, Hjalmarze. Przecież ani siebie, ani Giny nie zechcesz porównywać z nimi. Rozumiesz mnie przecież.

Hjalmar. A jednak nie mogę się uwolnić od tej myśli, że jest w tem coś, co oburza moje poczucie sprawiedliwości. Wygląda to tak, jak gdyby nie było sprawiedliwego porządku świata.

Gina. Fe, Hjalmarze, dalibóg nie powinienes mówić takich rzeczy.

Gregor. Hm, — pozostawmy tę kwestyę w zawieszeniu.

Hjalmar. Z drugiej strony inaczej się rzeczy przedstawiają, kiedy się widzi rządzącą prawicę losu. On traci wzrok!

Gina. O, w tem znowu nie ma nic tak bardzo pewnego!

Hjalmar. To rzecz niewątpliwa. My nie możemy bynajmniej o tem wątpić, bo właśnie w tym fakcie leży sprawiedliwy odwet. Swojego czasu oślepił niewinne stworzenie ludzkie.

Gregor. Niestety, on wielu oślepił.

Hjalmar. A teraz nadchodzi nieubłagany, zagadkowy odwet; domaga się od Werlego jego własnych oczu.

Gina. Jak możesz mówić takie okropne rzeczy! Dreszcze mnie przejmują.

Hjalmar. To wcale dobrze przy sposobności zagłębić się także w czarną strony bytu.

Jadwiga wchodzi w kapeluszu i płaszczyku wesoła i zadyszana.

Gina. Już wróciłaś?

Jadwiga. Tak, nie chciałam dalej iść i dobrze się stało, bo spotkałam przed drzwiami kogoś. —

Hjalmar. Zapewne panią Sörby — ?

Jadwiga. A tak. —

Hjalmar przechadza się tam i napowrót. Mam nadzieję, że widziałas ją po raz ostatni.

Pauza. *Jadwiga* patrzy nieśmiało na wszystkich po kolei, jakby chciała wy badać ich usposobienie.

Jadwiga zbliża się do ojca z przymileniem. *Tatusiu...*

Hjalmar. No — o co idzie?

Jadwiga. Pani Sörby coś dla mnie przyniosła.

Hjalmar zatrzymuje się. Dla ciebie?

Jadwiga. Tak, — coś na jutro.

Gina. Berta w tym dniu ma zawsze dla ciebie jakąś drobnostkę.

Hjalmar. Cóż to takiego?

Jadwiga. O! nie może jeszcze ojczulek teraz o tem wiedzieć — jutro rano mama przyniesie mi to do łóżeczka.

Hjalmar. Ach, wiecznie te wspólne konszachty, od których jestem wyłączony.

Jadwiga prędko. Nie, nie, tatuś powinien wiedzieć. To jest wielki list. Wyjmuje z kieszeni płaszczyka list.

Hjalmar. I list także?

Jadwiga. Tak, tylko list. Co innego przyjdzie zapewne później. Ale pomyśl sobie, tatusiu, — list. Nigdy jeszcze nie odebrałam żadnego listu. A na wierzchu jest napisane: Do rąk panny — „panny“ Jadwigi Ekdal. Pomyśl sobie, tatusiu, to jestem ja.

Hjalmar. Pokaż mi ten list.

Jadwiga podaje. Weź, tatusiu.

Hjalmar. Ręka przemysłowca Werlego.

Gina. Jesteś tego pewny, Hjalmarze?

Hjalmar. Zobacz sama.

Gina. Ach — cóż ja się na tem rozumiem.

Hjalmar. Jadwigo, czy mogę list otworzyć i przeczytać. —

Jadwiga. Jeżeli chcesz, tatusiu.

Gina. Nie, nie dziś wieczorem, Hjalmarze. To przecież jest na jutro.

Jadwiga. Ach, pozwól ojculkowi przeczytać list, mamó. Tam jest z pewnością coś dobrego. Tatusz będzie kontent a u nas znowu będzie wesoło.

Hjalmar. No, czy mogę list otworzyć?

Jadwiga. Tak, niech tatusz będzie tak dobry. To będzie tak ładnie dowiedzieć się, co w nim jest.

Hjalmar. Dobrze. Otwiera list, wyjmując papier, czyta, na twarzy maluje się pomieszanie. Co to jest?

Gina. Cóż list zawiera?

Jadwiga. Powiedz, powiedz, tatusiu!

Hjalmar. Cicho! Odczytuje jeszcze raz, blednie, ało panując nad sobą mówi. To jest dokument darrowizny, Jadwigo.

Jadwiga. O, mój Boże! A co ja dostanę?

Hjalmar. Czytaj sama.

Jadwiga idzie do lampy i czyta przez chwilę.

Hjalmar półgłosem, zaciskając pięści. Oczy! Oczy! A do tego ten list.

Jadwiga przerywając czytanie. Tak — ale zdaje mi się, że to dla dziadka.

Hjalmar. Gina, czy ty to rozumiesz?

Gina. Nic nie wiem, o co idzie — gadajcie.

Hjalmar. Przemysłowiec Werle pisze do Jadwigi, że jej stary dziadek nie potrzebuje się już

męczyć przepisywaniem, lecz że na przyszłość może miesięcznie pobierać z kantoru po sto koron.

Gregor. Aha!

Jadwiga. Sto koron, mamó. Tak tam napisane.

Gina. No, to dla dziadka bardzo dobrze.

Hjalmar. Sto koron, jak długo będzie tego potrzebował, co naturalnie znaczy tak długo, dopóki oczów nie zamknie.

Gina. No—to biedak jest już zaopatrzony.

Hjalmar. Ale teraz rzecz główna. Nie przeczytałaś tego jeszcze, Jadwigo. Potem podarunek ten przejść ma na ciebie.

Jadwiga. Na mnie? To wszystko!

Hjalmar. Pisze, że sumę tę masz zapewnioną na całe twe życie. Słyszysz, Gino?

Gina. Słyszę przecie.

Jadwiga. I te wszystkie pieniądze, to ja mam dostawać! Ach, tatusiu, tatusiu, nie cieszysz się z tego?

Hjalmar. Cieszyć się! — Chodzi tam i napowrót. O, co za horyzonty — co za perspektywy otwierają się przedemną! Więc to Jadwigę, więc to ją obdarza tak sownie!

Gina. Przecież to urodziny Jadwigi.

Jadwiga. Ale przecież to ty dostaniesz, tatusiu. To się rozumie, że ja wszystkie te pieniądze tobie oddam i mamie.

Hjalmar. Matce — Otóż tu jest. —

Gregor. Hjalmarze, zastawiono na ciebie pułapkę.

Hjalmar. Sądzisz, że to miałyby być znowu pułapka?

Gregor. Kiedy dziś rano tu był, powiedział: Hjalmar Ekdał nie jest człowiekiem takim, za którego go uważasz. —

Hjalmar. Nie jest takim człowiekiem?

Gregor. Przekonasz się o tem — mówił.

Hjalmar. Miałeś przekonać się, że dam sobie zatkać usta pieniędzmi.

Jadwiga. Ale mam, co to znaczy?

Gina. Idź do pokoju i rozbierz się.

Jadwiga odchodził, omal nie płacząc, do drzwi kuchennych.

Gregor. Tak, Hjalmarze, teraz ma się okazać, kto miał słuszość, ja czy on. —

Hjalmar drze zwolna papier na dwie połowy; obie połowy kładzie na stole i mówi. Oto moja odpowiedź!

Gregor. Czekałem na to.

Hjalmar podchodzi do Giny, która stoi przy piecu i mówi do niej stłumionym głosem. A teraz bez obłudy: kiedy stosunek pomiędzy nim a tobą się zakończył? kiedy tobie — tak ogromnie poczytało na mnie zależeć, jak to nazywasz? Dlaczego on uczynił wszystko, ażeby doprowadzić do skutku nasze małżeństwo?

Gina. Myślał może, że będzie mógł tak samo tu do nas przychodzić.

Hjalmar. Tylko dlatego? Czy nie lękał się czasem o coś, co mogło nastąpić?

Gina. Nie rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć.

Hjalmar. Chcę wiedzieć — czy twoje dziecko ma prawo mieszkać pod moim dachem?

Gina wyprostowana, z błyskiem w oczach. I ty się o to pytasz!

Hjalmar. Masz mi odpowiedzieć: tak lub nie — czy Jadwiga należy do mnie, czy — odpowiadaj!

Gina patrzy na niego chłodno i zuchwale. Nie wiem.

Hjalmar drżąc lekko. Ty nie wiesz?

Gina. Jakże ja mogę wiedzieć taką rzecz, taka jak ja! —

Hjalmar spokojnie odwracając się od niej. A więc nie mam tu już więcej nic do czynienia!

Gregor. Namyśl się, Hjalmarze!

Hjalmar wkłada płaszcz. Dla człowieka takiego jak ja niema tu pola do namysłu.

Gregor. O, tu jest nadzwyczaj duże pole do namysłu. Wy troje musicie się trzymać razem, jeżeli chcecie mieć udział w wielkim przebaczącym ofiarnym nastroju.

Hjalmar. Ja tego wcale nie chcę! Nigdy! Nigdy! Gdzie kapelusz! Bierze kapelusz. Mój dach rodzinny zapadł się dokoła mnie w gruzy! Wybucham płaczem. Gregorze, ja nie mam już domu!

Jadwiga otwiera drzwi od kuchni. Co mówisz, tatusiu — idzie ku drzwiom. Tatusiu, tatusiu!

Gina. No spojrzysz!

Hjalmar. Nie zbliżaj się do mnie, Jadwigo!

Zdaleka, zdaleka! Nie zniosę twego widoku. Ach te oczy! Bądź zdrowa! Chce wyjść.

Gina woła. Spójrzyjże przecie na dziecko, Hjalmarze. Spójrzyj na dziecko!

Hjalmar. Nie chcę! Nie mogę! Muszę odejść — precz od tego wszystkiego. Wyrwa się z objęć *Jadwigi* i wychodzi.

Jadwiga z rozpaczliwem spojrzeniem. On odchodzi od nas, mamó! On odchodzi od nas! On nie wróci już nigdy!

Gina. Nie płacz. *Jadwigo*! Ojciec wróci!

Jadwiga rzuca się. Łkając na sofę. Nie, nie — on nigdy już do nas, do domu nie wróci!

Gregor. Czy pani mi wierzy, pani *Ekdal*, że ja tylko chciałem dla was jak najlepiej...

Gina. Muszę wierzyć — ale niech panu tego Pan Bóg nie pamięta.

Jadwiga leży na sofie. Ach mamó, mnie się zdaje, że ja z tego umrę! Co ja mu, mamó, zrobiłam! Mamó, ty musisz przyprowadzić go na powrót do domu.

Gina. No dobrze, dobrze, tylko się uspokój. Już wyjdę i odszukam go. Wkłada zwierzchnie odzienie. Może on poszedł do *Rellinga*. Ale ty przez ten czas nie będziesz tak leżeć i jęczeć! No, musisz mi przyrzec.

Jadwiga płacze spazmatycznie. Już, już nie będę, byle tatuś wrócił.

Gregor do *Giny*, która chce odejść. Czyby nie

było lepiej pozwolić mu, aby sam zwalczył pierwszą boleść.

Gina. To sobie może zrobić potem. Pierwsza rzecz jest, żeby dziecko uspokoić. Wychodzi.

Jadwiga śląda i osusza łzy. Pan musi mi powiedzieć, co to jest. Dlaczego ojciec nie chce nawet patrzeć na mnie?

Gregor. Nie pytaj pani o to, dowiesz się, jak dorośniesz.

Jadwiga wśród łkania. Nie mogę przecież tak strasznie się martwić aż do tego czasu, jak dorosnę. Ja wiem już co to jest. Może ja nie jestem prawdziwym dzieckiem ojca!

Gregor zaniepokojony. Jakżeby to być mogło!

Jadwiga. Mama mogła mnie gdzie znaleźć przypadkiem. Teraz ojciec może się o tem dowiedzieć; bo o takich rzeczach to ja już czytałam.

Gregor. No a gdyby tak było! —

Jadwiga. To przecież i tak mógłby mnie tak samo lubieć. A nawet jeszcze więcej. Dziką kaczkę także dostaliśmy w podarunku a przecież ja ją tak bardzo lubię.

Gregor zmiieniając przedmiot rozmowy. Tak, dziką kaczkę, to prawda — pomówmy trochę o dzikiej kaczce.

Jadwiga. Biedna dzika kaczka! Jej tatuś także nie chce na oczy widzieć. Pomyśl pan tylko, on ma ochotę szyję jej ukręcić.

Gregor. O, tego przecież nie robi!

Jadwiga. Nie, ale tak powiedział. I to nawet brzydko jest ze strony ojca, — bo ja modłę się co wieczór za dziką kaczkę i proszę, żeby Bóg ją ustrzegł przed śmiercią i przed wszelkiem nie-szczęściem.

Gregor patrzy na nią. Modli się pani co wieczór?

Jadwiga. A jakże, modłę się.

Gregor. Kto panią do tego przyzwyczaił?

Jadwiga. Ja sama. Raz ojciec był chory i miał pijawki na szyi. Mówił wtedy, że walczy ze śmiercią.

Gregor. No i —

Jadwiga. Wtedy modliłam się za niego, kiedy się kładłam spać. A potem to już tak zostało.

Gregor. A teraz modli się pani za dziką kaczkę?

Jadwiga. Myślałam, że będzie najlepiej dziką kaczkę przyłączyć do modlitwy; bo z początku bardzo chorowała.

Gregor. Modli się pani także i rano?

Jadwiga. Nie, rano nie.

Gregor. Czyż ranna modlitwa ma być gorsza?

Jadwiga. Rano jest tak jasno; niema nic takiego, przed czemby się miało trwogę.

Gregor. I tej dzikiej kaczcze, którą pani tak kocha, ojciec chciał ukrećć szyję.

Jadwiga. Nie, — powiedział, że byłoby najlepiej dla niego, gdyby to uczynił, ale że przez wzgląd na mnie ją oszczędzi, i to było bardzo grzecznie ze strony tatusia.

Gregor przysnuwa się do niej. A gdyby pani dobrowolnie ze swej strony poświęciła dziką kaczkę.

Jadwiga. Dziką kaczkę! wstaje.

Gregor. Gdyby pani dla niego ofiarnie wyrzekła się najlepszej rzeczy, jaką pani zna i posiada?

Jadwiga. Czy pan myśli, żeby to co pomogło?

Gregor. Spróbuj pani, panno Jadwigo.

Jadwiga po cichu z błyszczącym wzrokiem. Dobrze, spróbuję.

Gregor. Sądzi pani, że masz na to dość mocy ducha?

Jadwiga. Poproszę dziadka, żeby dziką kaczkę dla mnie zastrzelił.

Gregor. Uczyni to pani. Ale ani słowa o tem przed matką.

Jadwiga. Dlaczego?

Gregor. Nie zrozumie nas.

Jadwiga. Dziką kaczkę? Spróbuję jutro rano.

Gina wchodzi.

Jadwiga. Znalazłaś go, mamó?

Gina. Nie, ale słyszałam, że był u Rellinga i że poszli razem.

Gregor. Jesteś pani tego pewna?

Gina. Odźwierna mówiła. Mówiła, że Molvig także poszedł z nimi.

Gregor. I to właśnie teraz, kiedy jego umysł tak potrzebował w samotności przeżyć pierwszą walkę.

Gina rozbiera się. Ach, mężczyźni są tak różni!

Drogi Boże! Gdzie też ten Relling mógł go zawlec. Pobiegłam do pani Eriksen, ale tam go nie było.

Jadwiga walczy ze łzami. Ach, a jeżeli on już wcale nie wróci!

Gregor. On powróci. Przyprowadzę go jutro. Wtedy przekonacie się, jakim powróci. Spij pani spokojnie, panno Jadwigo. Dobranoc. Wychodzi.

Jadwiga rzuca się łkając na szyję Giny. Ach, mamó, mamó!

Gina głaszcze ją po plecach i wzdycha. Ach tak, Relling miał słuszość. To tak jest, jak narwani ludzie chodzą i prezentują jakieś intryganckie wierzytelności.

A k t V.

Atelier Hjalmara Ekdala.

Zimne szare światło poranne. Na wielkich szybach okna w poddaszu leży śnieg. Gina w fartuchu kuchennym wchodzi z miotłą i piórkiem do kurzu, przechodzi od drzwi kuchennych do drzwi od izby. Równocześnie z kurytarza wchodzi szybko Jadwiga.

Gina zatrzymuje się. No?

Jadwiga. Tak, mamó, na pewno zdaje mi się, że jest na dole u Rellinga.

Gina. A widzisz —

Jadwiga. Odźwierna mówi, że z Rellingiem było jeszcze dwóch, kiedy w nocy wracali do domu.

Gina. Spodziewałam się tego.

Jadwiga. Ale na cóż to się przyda, jeżeli nie zechce przyjść do nas na górę.

Gina. To przynajmniej zejdę na dół i pogadam z nim. Stary Ekdał w szlafroku i pantoflach z zapaloną fajką wchodzi z drzwi swojego pokoju.

Ekdał. Hjalmarze! Niema Hjalmara w domu?

Gina. Niema — już wyszedł.

Ekdał. Tak wcześnie! I na taką śnieżycę? No, no — pomóż mi. Mogę sam odbyć dzisiejszy ranny przegląd. Otwiera drzwi od strychu, Jadwiga pomaga mu, poczem wchodzi a Jadwiga za nim zamyka.

Jadwiga. Co to będzie, mamó, jak się biedny dziadek dowie, że ojciec chce nas porzucić?

Gina. Nie mów mu nic. Dziadek nie potrzebuje wcale o tem wiedzieć. Szczęście, że wczoraj nie było go w domu podczas tego całego skandalu!

Jadwiga. Dobrze — ale — Gregor wchodził drzwiami od kurytarza.

Gregor. I cóż? Znalazłyście jego ślad?

Gina. Podobno jest na dole u Rellinga.

Gregor. U Rellinga! Więc on naprawdę był na mieście z tymi ludźmi?

Gina. Prawdopodobnie.

Gregor. On — który potrzebował tak koniecznie samotności i pragnął skupienia ducha.

Gina. A nazywaj pan sobie to jak chcesz.

Relling wchodzi drzwiami z kurytarza.

Jadwiga błętnie naprzeciw niego. Ojciec jest u pana!

Gina równocześnie. Hjalmar jest tam na dole —
Relling. Tak, jest, jest na dole.

Jadwiga. I pan nie o tem nie mówiłeś.

Relling. Prawda, jestem bydlę. Ale najpierw musiałem ułaskawić inne bydlę, to demoniczne naturalnie. A potem zasnąłem tak mocno, że —

Gina. Cóż Hjalmar dzisiaj mówi?

Relling. Ani słóweczka.

Jadwiga. Jakto? Nie mówi wcale?

Relling. Ani sylaby.

Gregor. Pojmuję to wybornie.

Gina. Więc cóż robi?

Relling. Leży na sofie i chrapie.

Gina. O, tak, Hjalmar bardzo chrapie!

Jadwiga. Spi? Ojciec może spać?

Relling. Wydaje się przynajmniej jakby spał.

Gregor. To można zrozumieć. Po wstrząśnięciach walki wewnętrznej.

Gina. I to on, który się nigdy poza domem nie włóczy. —

Jadwiga. To może dobrze, że ojciec może spać, mamó!

Gina. I mnie się tak zdaje. Ale to nie ma poco budzić go tak wcześnie. Dziękuję panu, panie Relling. Jeszcze muszę w mieszkaniu zrobić porządek, a potem — Jadwigo, chodź, pomożesz mi — *Gina* i *Jadwiga* przechodzą do drugiego pokoju.

Gregor zwraca się do *Rellinga*. Czy możesz mi

pan wytłómaczyć duchowy proces, który się teraz dokonywa w Hjalmarze Ekdalu?—

Relling. Na uczciwość, nie zauważyłem, żeby wogóle dokonywał się w nim jakikolwiek proces duchowy.

Gregor. Jakto? W podobnie przełomowej chwili, kiedy całe jego życie otrzymało nową podstawę.— Jak możesz przypuszczać, żeby taka indywidualność jak Hjalmar...?

Relling. Indywidualność — jego! Jeżeli kiedykolwiek miał jaką skłonność do tego rodzaju zboczenia, jakie się panu podoba nazywać indywidualnością, to wszystkie kiełkujące tego zarodki już w latach młodych wyrwane zostały ze szczętem; mogę pana o tem zapewnić. |

Gregor. To byłoby przecież dziwne, wobec tego starannego wychowania, jakie odebrał.

Relling. Co — od tych wyśrubowanych starych panien, od tych histeryczek ciotek?

Gregor. Powiem panu tylko tyle: to były kobiety, które nigdy idealnych wierzytelności nie puszczały w zapomnienie. Wiem, będziesz pan znowu ze mnie drwił.

Relling. Nie, wcale nie mam do tego ochoty. Zresztą mam o tem jego wychowaniu wyborne informacje. On już na różne retoryczne sposoby wspominał o tych dwóch swoich matkach duchowych. Nie sądzę jednak, żeby miał tak szczególne powody do wdzięczności dla nich. Nieszcze-

ściem Ekdala było to, że całe jego otoczenie uważało go zawsze za wielkie *lumen*.

Gregor. A czyż niem nie jest w głębi ducha?

Relling. Nigdy tego nie zauważyłem. Że jego ojciec w to wierzył — w tem nic dziwnego; całe życie był baranią głową.

Gregor. Całe życie był duszą dziecięcej prostoty; ale pan tego nie rozumiesz.

Relling. No naturalnie. Kiedy ten drogi, słodki Hjalmar z trudem wybrnąwszy z egzaminów, wszedł do szkół, koledzy także uważali go za geniusza przyszłości. Był ładny i to pociągało do niego — różowy i biały jak ideały podlotków. A w dodatku miał jeszcze łatwo wzruszające się usposobienie, ton w głosie ujmujący za serce i doskonale deklamował cudze wiersze i myśli.

Gregor z goryczą. I to ma być portret Hjalmara Ekdala!

Relling. Tak, łaskawy panie, tak wygląda na wewnątrz ta boska statua, przed którą pan bijesz czołem o ziemię.

Gregor. Nie rozumiem, jakby się można było tak zaślepić.

Relling. A jednak. Lecz pan jesteś człowiekiem chorym, pan także jesteś człowiekiem chorym.

Gregor. W tem — masz pan słuszość.

Relling. Zachodzi u pana skomplikowany przypadek. Naprzód ta zabójcza gorączka prawości; a potem co gorsza, wprawiasz się pan sam w de-

liryumadmiracyi; zawsze chcesz pan podziwiać cośkolwiek po za swemi własnymi sprawami.

Gregor. Muszę tego szukać poza zakresem własnych spraw.

Relling. Ale haniebnie się pan mylisz w wyborze tych wielkich bożyszczy, które jak się panu zdaje, widzisz i słyszysz wokoło siebie. Ze swoją idealną wierzytelnością znowu pan wlałeś do ubogiej chaty; w tym domu nie mieszkają ludzie zdolni do jej wypłacenia.

Gregor. Jeżeli pan nie ma lepszej opinii o Hjalmarze Ekdalu, jakże pan możesz znajdować przyjemność w ciągłym jego towarzystwie?

Relling. Mój Boże, przecież podobno jestem rodzajem doktora; muszę się więc z obowiązku zajmować biednym chorym, z którym mieszkam w jednym domu.

Gregor. Co pan mówisz? Więc Hjalmar Ekdał jest chory?

Relling. Niestety! prawie wszyscy ludzie są chorzy.

Gregor. I jakąż to kuracyę stosujesz pan do Hjalmara?

Relling. Mój zwykły system. Staram się podtrzymać w nim zwykłe kłamstwo życiowe.

Gregor. Kłamstwo życiowe? Nie dosłyszałem chyba dobrze!

Relling. Tak, powiedziałem: kłamstwo życiowe; bo kłamstwo życiowe jest podtrzymującym pierwiastkiem.

Gregor. A jakimże kłamstwem życiowem dotknięty jest Hjalmar?

Relling. O, przepraszam takich tajemnic nie zdradzam szarlatanom. Pan byłbyś w stanie jeszcze bardziej zepsuć mi kurację. Ale metoda jest wypróbowana. Zastosowałem ją także do Molviga. Jego uczyniłem demonicznym. To jest ta dawka, którą zastrzykuję mu pod skórę.

Gregor. A więc on nie jest demoniczny?

Relling. A cóż to u diabła ma znaczyć: demoniczny. Przecież to jest nonsens wyszukany przezemnie, ażeby go utrzymać przy życiu. Gdybym tego nie był uczynił, ten biedny, pocciwy człowiek popadłby w pogardę siebie samego i rozpacz. A obok Molviga — stary porucznik. Ale ten to sobie sam wynalazł swoją kurację.

Gregor. Porucznik Ekdal — a to jaką?

Relling. A cóż pan myślisz, że on, pogromca niedźwiedzi, na tym ciemnym strychu na króliki poluje? Niema w całym świecie szczęśliwszego strzelca niż on, kiedy się wśród tych gratów włóczy. Cztery czy pięć zaschłych choinek ze świąt Bożego Narodzenia starczy mu za olbrzymi szumiący las, taki, w jakim polował za swoich lat szczęśliwych; kura i kurczęta to dla niego cietrzewie na wierzchołkach sosen; króliki zaś to niedźwiedzie, z którymi podejmuje walkę on — człowiek swobody.

Gregor. Nieszczęśliwy starzec musiał się wyrzec ideałów młodości.

Relling. A propos, młody panie Werle, nie używaj pan obcego słowa „ideały” — kiedy mamy takie piękne swojskie słowo: „kłamstwa.”

Gregor. Sądzisz pan, że te pojęcia są sobie pokrewne?

Relling. Mniej więcej tak jak tyfus i dur brzuszny.—

Gregor. Panie doktorze, nie uspokoję się dopóty, dopóki nie wyrwę Hjalmara z pańskich rąk.

Relling. To będzie najgorzej dla niego! Odbierz pan przeciętnemu człowiekowi jego kłamstwo życiowe a odbierzesz mu pan równocześnie jego szczęście. Do Jadwigi, która przychodzi z mieszkania. No, mała mateczko dzikiej kaczki, idę zobaczyć, czy ojciec jeszcze leży i czy rozmyśla nad wielkim wynalazkiem.

Gregor. Poznają po wyrazie twarzy, że się jeszcze nie stało.

Jadwiga. Co? Ach to z dziką kaczka? Nie.

Gregor. Siła ducha opuściła panią, kiedy trzeba było przystąpić do czynu, nieprawdaż?

Jadwiga. Nie, to nie. Ale kiedy się zbudziłam dziś rano i myślałam nad tem, cośmy mówili, wydawało mi się to tak dziwne.

Gregor. Dziwne?

Jadwiga. Tak, ja nie wiem. — Wczoraj wieczorem znajdowałam w tem tyle piękna, ale kiedy

zasnąłam a potem znowu o tem myślałam, już nie takiego znaleźć w tem nie mogłam.

Gregor. Niezawodnie nie mogłaś pani wyrósć w tej atmosferze, nie tracąc czegoś ze swej natury.

Jadwiga. Kiedy to mnie nie obchodzi — byleby tylko ojciec chciał powrócić.

Gregor. Ach, gdybyś pani miała oczy otwarte na to, co życiu wartość nadaje, gdybyś pani posiadała prawdziwy, chętny, odważny zmysł do poświęceń, wówczas widziałabyś pani, jakby do pani powrócił. Liczę jednak na ciebie, panno Jadwigo. Wychodzi.

Jadwiga chodzi po scenie zamyślona. Potem chce przejść do kuchni. Słychać jednak pukanie do drzwi od strychu. *Jadwiga* otwiera, sta-y *Ekdal* wchodzi i zamyka za sobą drzwi.

Ekdal. Hm — nieszczególna przyjemność samemu odbywać przechadzkę poranną.

Jadwiga. Nie miałbyś ochoty iść na polowanie, dziadku?

Ekdal. Pogoda jest dziś nie do polowania. Tak ciemno, nie widać własnej ręki przed oczyma.

Jadwiga. Czy dziadek nie miał nigdy ochoty strzelać do czego innego, a nie ciągle do królików?

Ekdal. A cóż to — do królików źle się strzela?

Jadwiga. Ale tak — do dzikiej kaczki na przykład?

Ekdal. Ha! ha! boisz się, żebym twojej dzikiej kaczki nie zastrzelił? Nigdy — słyszysz — nigdy w życiu!

Jadwiga. Pewnie nie potrafiłbyś, dziadku; to musi być trudno strzelać do dzikiej kaczki.

Ekdal. Nie mógłbym? No — zobaczyłabyś!

Jadwiga. Jakżebyś to robił, dziadku? Naturalnie nie mówię o swojej kaczce, tylko o innej.

Ekdal. Dałbym strzał pod pierś — to najpewniejsze — a potem trzeba strzelać pod pióra, nie za piórami.

Jadwiga. I nie żyłaby już, dziadku?

Ekdal. Naturalnie, że nie żyłaby już — jeżeliby się tylko dobrze strzeliło. — Muszę iść oczyścić się.

Hm — już wiem — hm. Odechodzi do swego pokoju. *Jadwiga* czeka chwilę, rzuca bojaźliwe spojrzenia na drzwi do izby *Ekdałów*, idzie ku pułce, staje na palcach, bierze pistolet o dwóch lufach z pułki i ogląda go. *Gina* z miotłą i piórkiem do kurzu wchodzi. *Jadwiga* odkłada pistolet prędko i niepostrzeżenie.

Gina. Nie przewracaj tam w rzeczach ojca, *Jadwigo!*

Jadwiga odechodzi od pułki. Chciałam tylko trochę uporządkować.

Gina. Idź lepiej do kuchni i zobacz, czy kawa jest gorąca, zaniosę ją ojcu, jak będę schodziła na dół.

Jadwiga wychodzi. *Gina* robi porządek w atelier. W chwilę potem powoli otwierają się drzwi od kurytarza, zagląda przez nie *Hjalmar*; ma na sobie płaszcz, ale jest bez kapelusza, nieumyty, włosy nie uczesane. Spojrzenia bezmyślne i mętne.

Gina zatrzymuje się z miotłą w ręku i spogląda na niego. Ach, *Hjalmarze*, wreszcie przychodzisz!

Hjalmar wchodzi i mówi ponurym głosem. Przychoǳę, ażeby w tej samej chwili stąd wyjść.

Gina. No, no, już dobrze, dobrze. Jezus, *Marya*, jakże ty wyglądasz!

Hjalmar. Jak ja wyglądam?

Gina. A twój nowy płaszcz — no toś go urządził.

Jadwiga w drzwiach od kuchni. Mamo, czy mam... spostrzega *Hjalmara*, wydaje okrzyk radości i biegnie ku niemu. Tatuś! tatuś!

Hjalmar odwraca się od niej i wyciąga ręce jakby ze wstrętem. Precz, precz, precz! do *Giny*. Weź ją odemnie precz — mówię ci!

Gina półgłosem. Idź do pokoju, *Jadwigo*!

Jadwiga odchodzi w milczeniu.

Hjalmar skwapliwie wyciągając szuflady od stołu. Muszę moje książki wziąć ze sobą. Gdzie są moje książki?

Gina. Jakie książki!

Hjalmar. Moje naukowe książki naturalnie; — techniczne gazety, których potrzebuję do mojego wynalazku.

Gina szuka na półce. To te bez okładek?

Hjalmar. Naturalnie.

Gina kładzie paczkę poszytów na stole. Może *Jadwiga* ma ci to poprzecinać?

Hjalmar. Już tam dla mnie mogą zostać nieprzecięte.

Krótką pauza.

Gina. Więc stoi na tem, że od nas odchodzisz, *Hjalmarze*?

Hjalmar przerzucając książki. Zdaje mi się, że to jest jasne.

Gina. Tak jest.

Hjalmar gwałtownie. Nie mogę przecież tu pozostać i co godzinę przeszywać sobie serce sztyletem.

Gina. Niech ci Bóg przebaczy, że tak źle o mnie myślisz.

Hjalmar. A więc złóż dowody.

Gina. Mnie się zdaje, że to ty powinienbyś złożyć dowody.

Hjalmar. Wobec takiej przeszłości jak twoja! Są pewne wierzytelności — mógłbym je nazwać idealnemi, które...

Gina. A dziadek? Cóż będzie z tym biedakiem —

Hjalmar. Znam swój obowiązek. Bezradny starzec pójdzie ze mną. Wychodzę właśnie na miasto, ażeby poczynić starania — hm — z pomieszczeniem Czy tam kto nie znalazł na schodach mojego kapelusza?

Gina. Nie — zgubiłeś kapelusz.

Hjalmar. Przecież wracając w nocy do domu miałem go na głowie. To nie ulega wątpliwości. Ale dziś rano nie mogłem go nigdzie znaleźć.

Gina. O Jezus, a gdzieżeś ty był z tymi włóczęgami?

Hjalmar. Ach, — nie pytaj mnie o rzeczy tak podrzędne. Czy myślisz, że w takim usposobieniu, w jakim jestem, można pamiętać o szczegółach!

Gina. Czy ty tylko nie zaziębiłeś się, Hjalmarze! Odchodzi do kuchni

Hjalmar mówi półgłosem i z goryczą przewracając ciągle w szufladzie. Ty jesteś łotrem, Relling! Łajdakiem jesteś! Nikczemny kusiciel! Gdybym ja znalazł kogoś, ktoby cię zamordować potrafił! Odkłada na bok kilka starych listów; znajduje rozdarty poprzedniego dnia papier, bierze go do ręki i przygląda się bliżej obu kawałkom. Słyszając, że Gina wchodzi, odkłada je szybko na bok.

Gina stawia tacę z kawą na stole. Mam tu szklanekę gorącej kawy, może ci przyjdzie ochota. A tu jest chleb z masłem i trochę pekeflejszu!

Hjalmar patrząc ukradkiem na tacę. Pekeflejsz! Ani kawałka więcej pod tym dachem! A chociaż od dwudziestu czterech godzin nic pożywnego w ustach nie miałem, to mi jest wszystko jedno! Gdzie są moje rysunki? Gdzie jest zaczęty pamiętnik mojego życia? Gdzie moje notatki i ważne papiery? Otwiera drzwi do pokoju i cofa się. I tutaj zawsze ona!

Gina. Drogi Boże! Przecież dziecko musi gdzieś być!

Hjalmar. Wychodź stąd! Robi miejsce Jadwidze.

Jadwiga przestraszona wchodzi do atelier.

Hjalmar kładzie rękę na klamce i mówi do Giny. W ostatnich chwilach, które przepędzam w moim dawnym domu, pragnę oszczędzić sobie widoku obcych. Wychodzi.

Jadwiga przyskakuje do matki i mówi drżącym głosem. Czy to o mnie?

Gina. Siedź w kuchni, Jadwigo — albo nie, lepiej idź do swego pokoju. We drzwiach do Hjal-

mara. Zaczekaj Hjalmarze! Nie przewracaj tak w komodzie; ja wiem, gdzie to wszystko leży.

Jadwiga stoi przez chwilę nieruchoma, wśród trwogi i niepewności, gryzie wargi, żeby stłumić płacz — potem zaciska kurczowo ręce i mówi po cichu. **Dzika kaczka!** Posuwa się na palcach ku pułce, bierze pistolet, otwiera drzwi od strychu, przeciska się i pociąga drzwi za sobą.

Hjalmar i Gina rozmawiają głośno w pokoju.

Hjalmar wchodzi z kilkoma zapisanymi arkuszami i pożółkłymi luźnymi papierami, które kładzie na stole. Ach, cóż mi przyjdzie z torby podróżnej! Muszę się wlec z tysiącem rzeczy!

Gina idąc za nim z torbą podróżną. Ale zostawże to wszystko tymczasem. Weź tylko koszulę i parę kałesonów.

Hjalmar. Ach! — Jak mnie te przygotowania męczą. Zdejmuje płaszcz i rzuca na sofę.

Gina. A kawa ciągle stoi i ziębnie.

Hjalmar. Hm! Pije niechętnie jeden łyk a potem drugi.

Gina obcierając fotele. Najtrudniej ci będzie wynaleść taki sam strych dla królików!

Hjalmar Co? Ja miałbym ciągnąć za sobą te króliki!

Gina. No, ale pomyśl, Hjalmarze, że dziadek żyć nie może bez królików!

Hjalmar. Będzie się musiał przyzwyczaić. Ja muszę się wyrzec wyższych dóbr życia, niż królików.

Gina ściera kurz na pułkach. Czy flet mam ci też włożyć do torby?

Hjalmar. Nie potrzeba. Co mi dzisiaj po flecie! Ale daj mi mój pistolet!

Gina. Pistolet chcesz wziąć ze sobą?

Hjalmar. Tak, pistolet jest nabity.

Gina. Niema go. Dziadek go musiał wziąć.

Hjalmar. Dziadek jest na strychu.

Gina. Z pewnością.

Hjalmar. — Hm — samotny starzec. — Bierze kawałek chleba z masłem, je i popija kawą.

Gina. Gdybyśmy tego pokoju nie byli wynajęli, mógłbyś go teraz wziąć.

Hjalmar. Ja miałbym mieszkać pod tym samym dachem, który — nigdy — nigdy.

Gina. Ale przecież jeden dzień albo i dwa mógłbyś się tam zatrzymać. Miałbyś tam wszystko dla siebie samego.

Hjalmar. Nigdy wśród tych murów!

Gina. No, ale tam na dole u Rellinga i Molviga.

Hjalmar. Nie wymieniał mi tych nazwisk!

— Tracę apetyt, kiedy o nich pomyślę. — O nie! pójdę raczej wśród zawieruchy i zamieci śnieżnej, — będę chodził od domu do domu, żeby znaleźć schronienie dla siebie i dla ojca!

Gina. Ale ty nie masz kapelusza, Hjalmarze! Zgubiłeś swój kapelusz!

Hjalmar. O, te dwa wyrzutki społeczeństwa, przejęci występkiem do szpiku kości! Kapelusz musi się znaleźć! Bierze drugą kromkę chleba z masłem. Muszę poczynić starania. Nie mam ochoty

narażać życia na igraszkę losu. Szuka czegoś na tacy.

Gina. Czego szukasz?

Hjalmar. Masła.

Gina. Zaraz przyniosę. Odchodzi do kuchni.

Hjalmar woła za nią. Nie potrzeba! Mogę również dobrze jeść suchy chleb.

Gina przynosi masielniczkę. O jest — świeże masło. Daje mu nową szklankę kawy, *Hjalmar* siada na sofie, kładzie więcej masła na chleb i pije przez chwilę w milczeniu.

Hjalmar. Czy ja mógłbym — nie będąc ciężarem dla nikogo, ktokolwiekby to był, zamieszkać w tej izbie jeden lub dwa dni?

Gina. Ależ naturalnie, jeżeli tylko chcesz.

Hjalmar. Nie widzę bowiem możliwości, żeby wszystkie rzeczy ojca usunąć tak odrazu.

Gina. A przecież jeszcze musisz mu najpierw powiedzieć, że nie chcesz dłużej z nami wszystkimi pozostać.

Hjalmar. Odsuwa od siebie szklankę. Tak — i to także. Trzeba znowu dotknąć tych wszystkich zawikłanych spraw. Muszę się skupić — potrzebuję trochę spokoju — nie mogę tych wszystkich ciężarów pozbyć się w jednym dniu.

Gina. I to jeszcze w taką obrzydliwą pogodę jak dzisiaj!

Hjalmar odsuwając potargany list *Werlego*. Ten papier ciągle się tutaj płacze!

Gina. Ja go nawet nie ruszałam.

Hjalmar. Przecież mnie te świstki nic nie obchodzą.

Gina. Ja także nie myślę o tem, żeby z nich korzystać ciągnąć.

Hjalmar. Ale znowu przecież niema powodu wyrzucać tego na śmiecie; jak się będę wyprowadzał, w tem zamieszaniu mogłoby to łatwo —

Gina. Ja już będę uważała, Hjalmarze.

Hjalmar. Dokument darowizny należy przede wszystkim do ojca — to tylko jego rzecz, uczynić z niego użytek!

Gina wzdycha. Biedny staruszek!

Hjalmar. Dla bezpieczeństwa nie ma tu kleju?

Gina idzie do pułek. Garnuszek z klejem stoi tutaj.

Hjalmar. A pędzel?

Gina. Tu jest także pędzel. Przynosi mu.

Hjalmar bierze nożyczki. Jeszcze tylko pasek papieru dla przyklepienia na drugiej stronie. Tnie i zlepia. Nie mogę przecież niszczyć cudzej własności — tem bardziej własności ubogiego starca — ani też własności czyjej innej. Tak, niech to tak leży przez chwilę. A jak wyschnie, weź to precz. Nie chcę tego papieru widzieć na oczy. — Nigdy!

Gregor Werle wchodzi.

Gregor nieco zdziwiony. Jakto — siedzisz tu, Hjalmarze?

Hjalmar wstaje prędko. Ze znużenia — upadłem tak na sofę.

Gregor. Jadłeś także śniadanie, jak widzę.

Hjalmar! I ciało czasem upomina się także o swoje prawa!

Gregor. Na co się więc zdecydowałeś?

Hjalmar. Dla człowieka takiego jak ja, jest tylko jedna droga. Mam zamiar spakować moje najważniejsze rzeczy, ale pojmujesz, że to wymaga czasu.

Gina nieco niecierpliwie. Czy mam uprządkować dla ciebie w pokoju, czy pakować torbę?

Hjalmar rzucając gniewny wzrok na Gregora. Pakuj i porządkuj.

Gina bierze torbę. Dobrze, włożę tu koszulę i inne rzeczy. Idzie do pokoju i zamyka za sobą drzwi.

Gregor po krótkiej pauzie. Nigdy nie przepuszczałem, że taki koniec rzeczy wezmą. Czy rzeczywiście musisz opuścić ten dom i rodzinę?

Hjalmar przechadza się niespokojnie. A jak myślisz, coż ja mam robić? Nie jestem na to stworzony, aby być nieszczęśliwym. Ja muszę mieć dokoła siebie spokój i pogodę.

Gregor. A czyż tak być nie może? Spróbuj tylko. Zdaje mi się właśnie, że masz teraz silne fundamenty, na których możesz budować. Zaczynaj od początku. Pomyśl także, że masz żyć dla twego wynalazku.

Hjalmar. Ach, nie mów mi o tym wynalazku. To jeszcze wszystko na bardzo dalekim planie.

Gregor. Jakto?

Hjalmar. Ach — drogi Boże — coż ja właściwie mam wynaleść? Inni zrobili już wszystko

przedemną. Z każdym dniem trudniej coś nowego wymyśleć.

Gregor. A ty włożyłeś w to taki nakład pracy!

Hjalmar. To ten wykolejony Relling na to mnie naprowadził.

Gregor. Relling?

Hjalmar. Tak — on pierwszy zwrócił moją uwagę na to, że mam warunki do uczynienia wielkiego wynalazku w fotografii.

Gregor. Aha — a więc to Relling.

Hjalmar. Ach, czułem się z tego szczęśliwy całym sercem. Nie tyle widzisz z samego wynalazku, ile z tego, że Jadwiga w to uwierzyła, uwierzyła całą potęgą i mocą dziecinnego umysłu. To jest — ja głupiec wmawiałem ciągle w siebie, że Jadwiga w to wierzy.

Gregor. Jakże? ty możesz naprawdę przepuszczać, że Jadwiga była względem ciebie fałszywą?

Hjalmar. Wiem, jak było. Jadwiga staje mi na drodze. Odbiera mi słoneczność całego mojego życia.

Gregor. Jadwiga?? Doprawdy Jadwiga? Jakże ona może odbierać ci słoneczność życia?

Hjalmar nie odpowiadając. Jakże niewymownie ja to dziecko kochałem! Jak czułem się niewymownie szczęśliwym zawsze, ilekroć wchodziłem w progi mego ubożego mieszkania, a ona biegła ku mnie, mrużąc kochane oczęta. O ja łatwo-wierny głupiec! | Kochałem ją niewypowiedzianie.

I tak wypoetyzowałem, wymarzyłem sobie urojenie, że i ona kocha mnie również bez granic./

Gregor. Czyż rzeczywiście było to tylko urojenie?

Hjalmar. A skądże ja o tem mogę wiedzieć? Od Giny nie dowiem się prawdy. Jej brak zupełnie zmysłu dla idealnej strony konfliktów. Ale wobec ciebie czuję potrzebę otwarcia ci mego serca, Grzegorze. Wiecznie ta straszliwa wątpliwość—; może Jadwiga nigdy mnie nie kochała szczerze.

Gregor. Mógłbyś przecież mieć na to dowody. Nasłuchuje. Ale co to, czy to nie jest krzyk dzikiej kaczki?

Hjalmar. Trzepoce skrzydłami. Ojciec jest na strychu.

Gregor. To on! Radość tryska mu z oczu. Powtarzam, łatwo przecież mógłbyś mieć dowód, że biedna dziewczyna kocha cię rzeczywiście.

Hjalmar. Ach, i jakiż dowód dać mi może! Nie wierzę ani jednemu zapewnieniu z jej strony!

Gregor. Jadwiga nie umie udawać.

Hjalmar. O, Grzegorze, właśnie tego nie jestem pewny. Jakżeż często przesiadywała tu Gina z tą tam panią Sörby i o czem nie szeptały wzajemnie! A Jadwiga ma zazwyczaj oczy otwarte. Być może, że darowizna nie spadła na nią tak niespodziewanie. Zdaje mi się nawet, że zauważyłem coś podobnego.

Gregor. A cóż za duch opętał cię teraz. —

Hjalmar. Po prostu otworzyły mi się oczy. Zastanów się tylko:—widzisz, list z darowizną jest tylko początkiem. Pani Sörby zawsze była przywiązana do Jadwigi; teraz zatem może dla dziecka uczynić, co zechce. Może ją odemnie wziąć, kiedy jej się tylko spodoba.

Gregor. Ależ Jadwiga nigdy od ciebie nie odejdzie.

Hjalmar. Nie bądź tego tak pewnym. Jak tylko tamci przyjdą i pełnemi rękami przywoływać ją będą! A ja, który ją tak niewypowiedzianie kochałem! Ja, który najwyższe szczęście w tem widziałem, żem ją ostrożnie brał za rękę i jak dziecko, co się boi w ciemnościach, prowadził przez wielki i pusty strych. A teraz czuję tylko dręczącą pewność, że biedny fotograf na tem ubogiem poddaszu nie był dla niej nigdy czemś całkowitem. Chytrze starała się z nim być dobrze dopóty — dopóki właściwa chwila nie nadejdzie.

Gregor. Ależ ty sam chyba w to nie wierzysz, Hjalmarze!

Hjalmar. To jest właśnie straszne, że zupełnie nie wiem, w co mam wierzyć, — że nigdy tego wiedzieć nie będę! Czy wątpisz rzeczywiście o tem, że tak jest, jak ja mówię? Haha! spuszczasz się zanadto na idealne wierzytelności, mój dobry Gregorze! Jak tylko inni przyjdą, rozumie

się z pełnemi rękoma, i zawołają na dziecko: Odejdź od niego! przy nas będziesz używać życia.

Gregor prędko. No i ty myślisz, że co się wtedy stanie?

Hjalmar. Gdybym się jej wtedy zapytał: Jaddwiniu, czy jesteś gotowa mnie oddać życie? Śmieje się szydęczo. No, dziękuję — usłyszałbyś, jakbym dostał odpowiedź! Na strychu wystrzał z pistoletu.

Gregor głośno z radością. Hjalmarze!

Hjalmar. Słyszałeś, ojciec znowu jest na polowaniu.

Gina wchodzi. Ach, Hjalmarze, ojciec znowu sam tam hałasuje po strychu. —

Hjalmar. Zajrzę tam zaraz.

Gregor żywo z radością. Czekał chwilę! Czy wiesz, co to było?

Hjalmar. No, naturalnie, że wiem.

Gregor. Nie, nie wiesz. Ja jednak wiem. To był właśnie dowód.

Hjalmar. Jaki dowód?

Gregor. Czyn ofiarny dziecka. Poprosiła twojego ojca, aby zastrzelił dziką kaczkę.

Hjalmar. Żeby zastrzelił dziką kaczkę.

Gina. Cóż znowu!

Hjalmar. Ależ w jakim celu?

Gregor. Chciała poświęcić ci to, co miała najlepszego na świecie. Myślała, że wówczas pokochasz ją znowu jak dawniej.

Hjalmar łagodnie — wzruszony. Drogie dziecko!

Gina. No i na jaki pomysł ona wpadła!

Gregor. Chciała tylko twoją miłość odzyskać, Hjalmarze. — Zdawało się jej, że bez niej nie będzie mogła żyć —

Gina powstrzymując łzy. No teraz sam widzisz, Hjalmarze!

Hjalmar. Gina, gdzie ona jest?

Gina łkając. Biedaczka, siedzi pewnie w kuchni.

Hjalmar wstaje, otwiera raptownie drzwi kuchenne i mówi. Jadwiniu, chodź, chodź do mnie! Rozgląda się. Niema jej tutaj!

Gina. To musi być w swoim pokoju.

Hjalmar za sceną. Nie — tu jej niema także. Wraca. Musiała wyjść z domu.

Gina. Nie mogłeś jej ścierpieć nigdzie w całym mieszkaniu.

Hjalmar. Ach, niechże czempredzej wraca do domu — żebym ją mógł uścisnąć. Już teraz wszystko będzie znowu dobrze. Gregorze, — teraz i ja wiem, że możemy nowe życie rozpocząć.

Gregor spokojnie. Wiedziałem, że tak będzie. Dziecko miało wam przynieść odrodzenie.

Stary Ekdal pokazuje się w drzwiach swojego pokoju. Jest w pełnym uniformie, zajęty właśnie przypinaniem szabli.

Hjalmar zdziwiony. Ojciec! To ojciec był tutaj!

Gina. To ojciec strzelił u siebie w pokoju?

Ekdal gniewnie — zbliża się. Czy ty chodzisz już sam na polowanie, Hjalmarze?

Hjalmar z pomieszczeniem i zaciekawieniem. Więc to nie ojciec strzelił na strychu?

Ekdal. Jakto — ja miałem strzelać!

Gregor woła do *Hjalmara*. Więc ona sama za-
biła dziką kaczkę!

Hjalmar. Co to znaczy? Pospiesza do drzwi od
strychu, roztwiera je na dwie strony, staje i wydaje głośny krzyk.
Jadwiniu!

Gina biegnie do drzwi. Leży na ziemi!

Gregor. Leży? Pospiesza ku *Hjalmarowi*

Gina równocześnie. *Jadwiniu!* W głębi strychu.
Nie — nie — nie!

Ekdal. Ha, ha! I ona zabiera się do strzelania?
Hjalmar, *Gina* i *Gregor* przenoszą *Jadwigę* do atelier. *Jadwiga*
w obwisłej prawej ręce trzyma pistolet silnie ujęty palcami.

Hjalmar jakby w obłędzie. Pistolet poszedł
w bok. — Raniła siebie sama, krzyczcie o po-
moc! Ratunku!

Gina wybiega na kurytarz i woła na dół. *Relling!*
Relling! Doktorze *Relling!* Chodź pan — na mi-
łość boską chodź pan prędzej!

Hjalmar i *Gregor* kładą *Jadwigę* na sofie.

Ekdal po cichu. Las się mści!

Hjalmar na kolanach. Zaraz przyjdzie do sie-
bie; zaraz przyjdzie do siebie — tak, tak, tak!

Gina która powróciła. Gdzie ona się zraniła!
Nic nie widzę!

Relling wchodzi prędko, wkrótce potem *Molvig*. *Molvig* jest bez
kamizelki i halsztuka w otwartym sarducie.

Relling. Co się stało?

Gina. Oni mówią, że *Jadwiga* się postrzeliła.

Hjalmar. Ratuj ją czempędzej.

Relling. Postrzeliła się! Odsuwa stół na bok i opatruje Jadwigę.

Hjalmar ciągle na kolanach, patrzy z trwogą na *Rellinga*. Przecież to nie może być niebezpieczne — co, *Relling*! krwi prawie nie znać. Przecież to nie może być niebezpieczne!

Relling. Jak się to stało?

Hjalmar. Ach — cóż ja wiem!

Gina. Ona chciała zabić dziką kaczkę.

Relling. Dziką kaczkę?

Hjalmar. Pistolet musiał pójść bokiem.

Relling. Hm — czy tak? —

Ekdal. Las się mści! Ale pomimo tego nie czuję wcale trwogi! Idzie na strych i zamyka za sobą.

Hjalmar. No i cóż, *Relling*? Dlaczego nie mówisz ani słowa?

Relling. Kula poszła do piersi. —

Hjalmar. No tak — ale ona prędko przyjdzie do siebie.

Relling. Widzisz przecie, że już nie żyje. —

Gina wybucha płaczem. O dziecko, dziecko!

Gregor ochrypłym głosem. W głębi morza. —

Hjalmar odskakując. Nie, nie, ona musi żyć! O niech Bóg pobłogosławi cię — *Relling* — tylko na jedną chwilę, tylko na tak długo, żebym jej mógł powiedzieć, jak niewymownie ją cały czas kochałem.

Relling. Serce jest naruszone. Przekrwawienie wewnętrzne. Umarła w jednej chwili.

Hjalmar. A ja, który ją od siebie odpędziłem jak psa! Przerażona uciekła tam w głąb strychu i umarła z miłości dla mnie! Łkając. I to się już nigdy naprawić nie da! Nigdy nie będę już mógł jej powiedzieć — zaciska pięści i wznosi ku górze okrzyk. O ty, tam w górze — jeżeli tam jesteś! Dlaczego uczyniłeś mi taką krzywdę!

Gina. Cicho — cicho, nie gadaj takich okropności! Widać nie mieliśmy prawa zatrzymywać ją tutaj.

Molvig. Dzieweczka nie umarła — dziewczeczka śpi. —

Relling. Niedorzeczność!

Hjalmar uspokajając się idzie ku sofie i ze skrzyżowanymi ramionami patrzy na Jadwigę. Tam leży zimna i sztywna.

Relling stara się wyjąć z jej ręki pistolet. Palce zaciśnięte tak silnie — tak silnie.

Gina. Nie, nie, Relling — nie łam jej pan palców. Zostaw pan pistolet.

Hjalmar. Niechże go zabierze ze sobą. —

Gina. Tak — zostaw go pan. — Ale dziecko nie może przecie tu leżeć i paradować. Trzeba ją zanieść do jej pokoju. Tam powinna leżeć. *Hjalmarze*, weź ją. *Hjalmar* i *Gina* podnoszą Jadwigę.

Hjalmar niosąc zwłoki. O Gino, Gino, czy ty to wytrzymasz?

Gina. Jedno musi pomagać drugiemu. Teraz mamy ją po połowie. To tylko wiem.

Molvig wyciąga ramiona i mruczy. Chwała Panu na wysokościach — w proch się obrócisz, w proch się obrócisz.

Relling szepce Człowieku, zamknijże swój pysk — jesteś pijany. Hjalmar i Gina wynoszą zwłoki przez drzwi knchenne. *Relling* zamyka za nimi. *Molvig* wymyka się na kurytarz.

Relling idzie do Gregora i mówi. Nikt mnie nie przekona, żeby to miał być strzał przypadkowy.

Gregor zdrętwiały z przerażenia stoi w kureczowym dreszczu. Nikt wytłómaczyć nie zdoła, jak się stał ten okropny wypadek.

Relling. Kula przebiła pierś. Musiała oprzeć pistolet o pierś i wystrzelić.

Gregor. Jadwiga nie umarła daremnie. Wdziąłeś pan, jak boleść oswobodziła w nim całą wzniosłą stronę natury.

Relling. Prawie wszyscy ludzie, którzy z bólem stoją nad świeżym trupem, nabierają wzniosłości. Ale myślisz pan, że ta wzniosłość potrwa długo?

Gregor. Czyżby nie miała trwać i rosnąć przez całe życie?

Relling. Za trzy kwartały Jadwinia będzie dla niego pięknym tematem do deklamacyi — niczem więc-j. —

Gregor. I pan możesz to mówić o Hjalmarze Ekdału!

Relling. Pomówimy o tem, gdy pierwsza trawa na jej grobie pożółknie. Będiesz pan słyszał jego

łkania „za dzieckiem przedwcześnie wydartem ojcowskiemu sercu.“ Będiesz pan widział, jak się zacznie zabalsamowywać we wzruszeniu, w podziwieniu nad sobą samym i współczuciu dla siebie samego. Tylko uważaj pan!

Gregor. Jeśli po pańskiej stronie jest słusność a po mojej niesłusność — to wtedy życie nie życia warte.

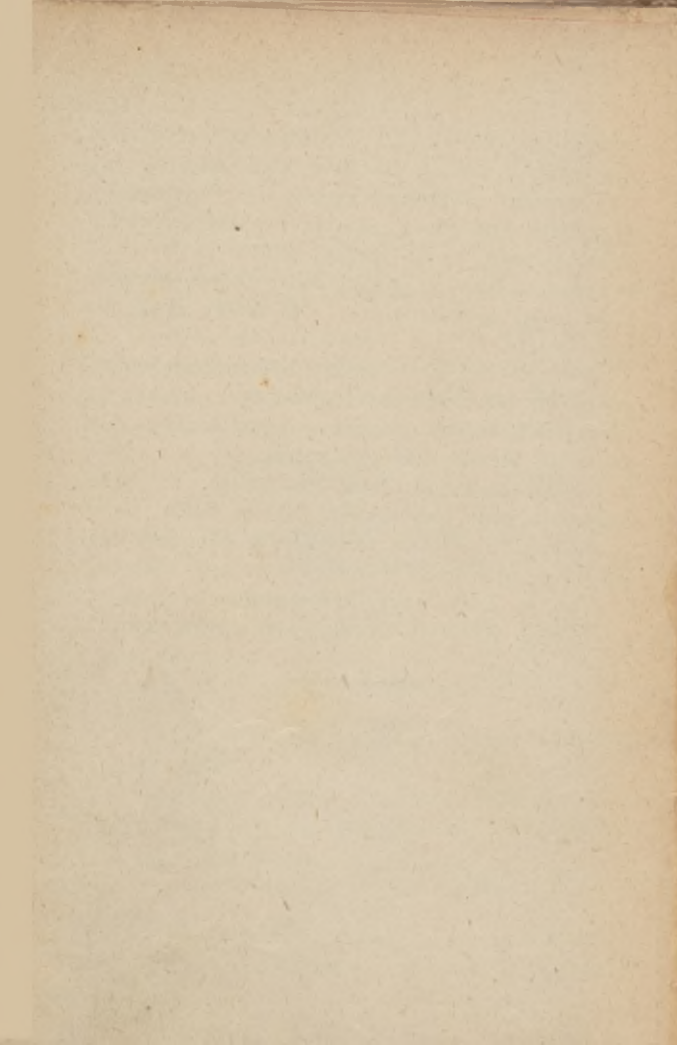
Relling. O! życie mogłoby być zupełnie dobre, gdybyśmy się mogli uwolnić od tych kochanych wierzycieli, którzy nachodzą nasz biedny dom ze swoją idealną wierzytelnością.

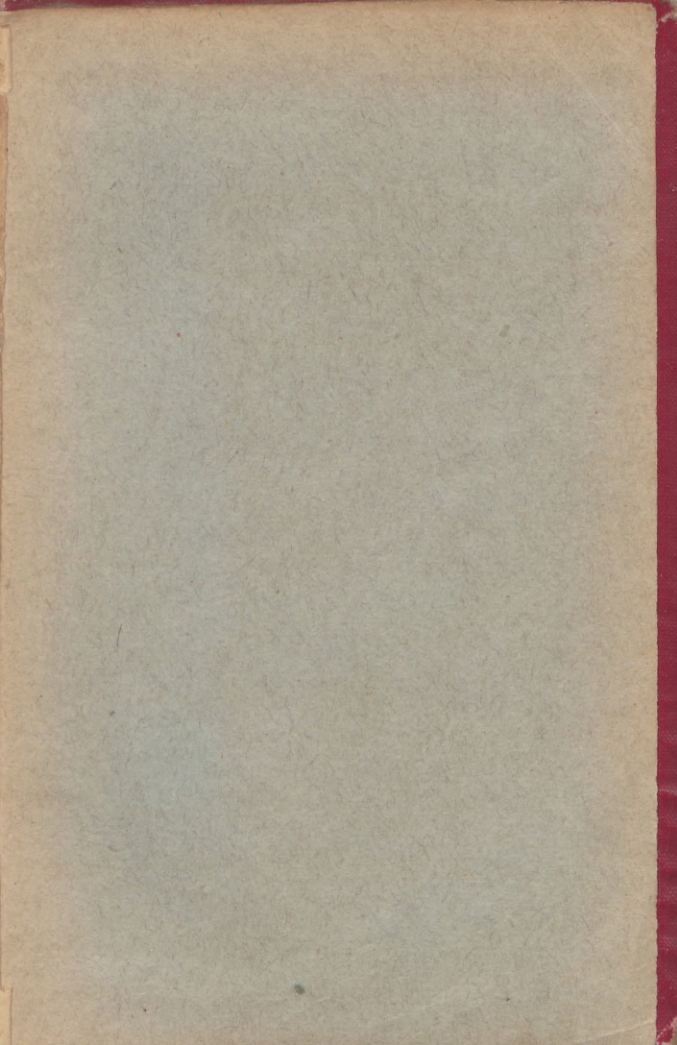
Gregor do siebie. Cieszę się przeto, że przeznaczenie moje jest takim, jakim jest.

Relling. Za pozwoleniem — a cóż jest tem pańskim przeznaczeniem?

Gregor. Trzynastym być u stołu.

Relling. Aj — do dyabła — to chyba prawda.





Biblioteka WSP Kielce



0143905